Rok I. Nr. 3.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

Lipiec.

KRAKÓW.

Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.

1895.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna wynosi z przesyłką 2 fl. (4 m.)

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

Cudowne uzdrowienie Maryi Saint-Germain.

Tygodnik katolicki dyecezyi Aire i Dax (z 16 lutego 1895 r.) pomieścił z polecenia biskupa następujący opis cudu zdziałanego za pośrednictwem cudownego medalika.

Marya Saint-Germain zastępowała w r. 1886 przełożoną pracowni w Mont de Marsan, którą zawiadowały SS. Miłosierdzia. Będąc bardzo wykształconą, pełną słodyczy i pobożności, wywierała wielki wpływ na swoje otoczenie, a zwłaszcza na dzieci, jej pieczy powierzone. Pod koniec grudnia, w sam dzień Bożego Narodzenia popadła nagle w stan chorobliwy, który z natury powinien się był pogarszać stopniowo. Słabość jej doszła do szczytu, gdy utraciła zupełnie apetyt; musiała zaniechać swej pracy. Lekarz, którego się radziła, powiedział że cierpi na gwałtowne kurcze żołądkowe i na zupełny brak krwi. Przez 9 miesięcy otaczano ją najstaranniejszą opieką, lecz zło zamiast ustępować, coraz więcej się wzmagało, pojawiając się w formach, których nie spostrzegano dotychczas. Wstrząśnienia chorobliwe powtarzały się z niesłychaną gwałtownością, następowało omdlenie i zupełna bezwładność. Wstrząśnienia te niedługo potem spowodowały paroksyzm, a przykre były niezmiernie tak dla biednej chorej, jak i dla osób opiekujących się

nią. Członki jej się przedłużyły, oddech miała ciężki, głowa jej się konwulsyjnie trzęsła, a jęk boleści i uciśnienia często mimowoli wydobywał się z jej ściśniętego gardła. Wśród uciążliwych tych chwil Marya Saint-Germain ani na chwilę nie utraciła spokoju, cierpliwości i ufności ku Niepokalanej Dziewicy. Przyciskała do swych ust medalik cudowny i składała ofiarę P. Bogu z okropnych swych boleści.

Postanowiono zawezwać drugiego lekarza celem konsultacyi z poprzednim. Ułożono porządek leczenia, mianowicie przepisano kąpiele w Dax, dokąd się też następnego lata t. j. r. 1887 wybrała. Po kilku dniach nieco jej się polepszyło, lecz nie trwało to długo, bo wkrótce znowu powróciły dawne wstrząśnienia nerwowe. Lecz to nie wszystko. Żołądek do tyla był osłabionym, że zwracał wszystkie pokarmy, tylko śmietana stanowiła wyjątek; a często jeszcze w dodatku przychodziły spazmy, które ją nadzwyczaj osłabiały.

W r. 1888 zebrali się wszyscy lekarze miasteczka około łoża chorej i postanowili przystawić jej bańki; lecz napróżno. Przepisano jej ponowną kuracyę w Dax, dokąd przybyła w ciągu lata. Z kolei leczono ją za pomocą hydroterapii i elektryczności, lecz i to nie odniosło skutku.

Widząc więc, że nauka tak samo jak i ona nie potrafi określić jej choroby, żeby potem módz się chwycić skutecznych środków, spokojna i zrezygnowana udała się o pomoc do Boga. Lubiła ona mawiać w tych dotkliwych cierpieniach, że przez cierpliwość i poddanie się pragnie być podobną do swego boskiego wzoru. Towarzyszki i przyjaciółki ją odwiedzające były wzruszone i okazywały jej szczere współczucie; podziwiały jej spokój i radość, która się przebijała na jej twarzy bladej i wychudłej. Przykuta do

swego łoża jakby do krzyża spędzała dnie i bezsenne noce na modlitwie mając oczy zwrócone na obraz Najśw. Panny. Największą dla niej było pociechą, gdy mogła przyjąć do swego serca boskiego Zbawcę.

W czerwcu r. 1888 Marya kazała się zawieść do Lourdes. O tej pielgrzymce, która jej pozostawiła tylko pociechę duchową, lecz żadnego nie sprawiła ulżenia na ciele, mówiła swemu spowiednikowi: „Nie traciłam ani na chwilę wiary i ufności w pomoc nadprzyrodzoną, lecz nie uczuwałam w sobie żadnego znaku uzdrowienia; zdawało mi się, że to nie jest wola Boża, żebym już teraz była wolną od mego cierpienia".

Następnie stan choroby się pogorszył i doszedł już do ostateczności. Chora utraciła władzę w nogach i mowę. Nawet odżywianie jej mlekiem, stało się niemożliwem, bo żołądek go już nie znosił. Trudność połykania była tak wielka, że komunii św. aż do 27 listopada zeszłego roku nie można jej było inaczej udzielać, jak tylko w malutkiej cząsteczce. Marya tymczasem w milczeniu znosiła te boleści i o ile mogła, ukrywała je, aby nie zastraszać swej starej matki, która podczas całej choroby otaczała ją najtroskliwszą opieką.

Lata 1889 i 1890 upłynęły nie przynosząc najmniejszej nawet ulgi. W miesiącu wrześniu 1891 r. choroba znacznie się pogorszyła. Biedaczka nie mogła nawet kilku kropli mleka przełknąć. Wstrząśnień nerwowych nie można było powstrzymać w inny sposób, jak tylko za pomocą morfiny i sporej dozy chloroformu. To spowodowało zupełne wycieńczenie. Koniec jej zdawał się już bliskim; zażądała więc ostatnich SS. Sakramentów. Po ostatniem olejem św. na-

maszczeniu uspokoiła się i powoli ustępować zaczęło niebezpieczeństwo.

Minęły lata 1892 i 1893 tak jak poprzednio, nie przynosząc polepszenia: zawsze te same boleści. Właściciel domu, w którym mieszkała wraz z matką był do tyla nielitościwym, że jej wypowiedział mieszkanie. Na szczęście przyjęto ją wtedy do szpitala, gdzie w pokoju oddzielnym, doznawała starannej opieki SS. Miłosierdzia.

Rok 1894 był na schyłku. Lekarz D., który ją od r. 1886 leczył z wielkiem poświęceniem, chciał w początkach listopada zbadać jej stan wraz z dwoma kolegami jedynie w celach naukowych. Pokazał im swą pacyentkę i szczegółowo opowiedział im wszystkie fazy jej choroby. Bynajmniej nie ukrywał, że dyagnoza tej choroby narobiła mu wiele kłopotu. Sprawa ta żywo zainteresowała jednego z tych panów, Dra C., który poprosił Siostry, żeby mógł chorą zbadać. Odwiedził ją po kilku dniach i powiedział jej z wielką życzliwością i otwartością: „Nie tuszę sobie wcale, bym panią zdołał wyleczyć, lecz pragnąłbym pani choć cokolwiek ulżyć“. Następnie prosił ją, by się przygotowała na zbadanie. Dwie infirmarki przy pomocy lekarza podniosły ją z łóżka. Lecz kiedy chciano ją postawić na ziemi, nogi wyschnięte nie mogły utrzymać jej ciała; nastąpił gwałtowny wybuch, a kiedy ją umieszczono w fotelu, zemdlała i na wpół żywą trzeba ją było zanieść do łóżka. Lekarz przestraszony tą bolesną sceną żałował, że on był jej powodem i powiedział chorej: „Z boleścią muszę pani oświadczyć, że nogi jej nie dotkną się więcej podłogi; odtąd pani już łóżka nie opuści“. Działo się to 21 listopada.

Różne te kuracye i próby bezskuteczne wyka-

zały tylko bezsilność nauki. Ośmiu lekarzy ją badało nie osiągnąwszy pożądanego rezultatu: żaden bowiem nie umiał nawet nazwać jej choroby. Szczęście, że Marya nie oczekiwała wcale uleczenia za pośrednictwem sztuki lekarskiej, miała bowiem przeczucie, że tylko Niepokalana Dziewica może jej zdrowie przywrócić, dla tego też cierpliwie czekała na tę chwilę.

I chwila ta nadeszła. Dnia 27 listopada kościół miał po raz pierwszy obchodzić uroczystość Najśw. Panny od cudownego medalu, ustanowioną dopiero co przez Ojca św. Siostry Miłosierdzia w Mont-de-Marsan zamierzały święto to obchodzić z szczególniejszą okazałością. Marya Saint-Germain widząc te przygotowania miała takie uczucia jak nigdy przedtem: nasuwało jej się często pragnienie uleczenia, któreby służyło do pomnożenia czci ku Najśw. Pannie, a do pragnienia tego przyłączyła się zarazem nadzieja, że dostąpi tej łaski. Dlatego poradzono jej, żeby odprawiła nowennę do Najśw. Panny od cudownego medalu. Radę tę przyjęła z wdzięcznością i prosiła Dzieci Maryi, swoje współtowarzyszki, ażeby wraz z nią zechciały brać udział w tej nowennie. W pewnych godzinach zbierano się około jej łoża i płynęła modlitwa jak gdyby strumień niebieski, unoszący ze sobą dusze. Przeczysta Dziewica tyle już cudów zdziałała za pośrednictwem cudownego medalu; czemuż nie miałaby uczynić tego samego na dziecku swem uprzywilejowanem w nagrodę za tyle cierpień. Siostry opiekujące się szpitalem i szkołą połączyły swe modły z modlitwami Dzieci Maryi. Tymczasem jedna z nich poczciwa Siostra X. trzymała się na uboczu; nie dla tego, żeby jej brakło wiary, lecz łaska o którą proszono zdawała jej się tak nadzwyczajną, że wolała

wcale o nią nie kołatać. Dlaczegośmy ten szczegół zaznaczyli, zobaczymy później.

Otóż i nadszedł dzień 27 listopada. Postanowiono przenieść w tym dniu Maryą Saint-Germain w fotelu do kaplicy, żeby mogła wysłuchać mszy św., a we wieczór, jeżeli jej siły pozwolą, także i nieszporów. Lecz nim pójdziemy dalej w naszem opowiadaniu, zesumujmy w kilku słowach to, cośmy dotychczas powiedzieli:

Od siedmiu lat Marya przykuta jest do łoża wskutek choroby nieuleczalnej.

Od siedmiu lat doznaje wstrząśnień nerwowych tak gwałtownych, że nikt nie może patrzeć bez wzruszenia na te jej boleści.

Od siedmiu lat pokarm jej stanowi trochę mleka z kilkoma odrobinami chleba.

Od siedmiu lat nie może się porozumiewać ze swem otoczeniem mową zrozumiałą, lecz tylko za pomocą giestów lub tabliczki.

Od siedmiu lat nogi jej nie zdołają utrzymać ciężaru ciała i nawet ziemi dotknąć się nie mogą, bez okropnych boleści.

W takim to stanie znajdowała się nasza biedna chora 27 listopada w uroczystość Najśw. Panny od cudownego medalu. O godzinie 6 zrana wziął ją silny infirmarz na ręce i zaniósł na fotel, przygotowany dla niej w kaplicy, gdzie się już było zebrało całe Stowarzyszenie Dzieci Maryi. Wysłuchała więc Marya mszy św. i przyjęła podczas niej komunię św. Po mszy św. zaniesiono ją do jednej z rozmownic na parterze i złożono ją na sofie. Była zmęczona, lecz bardzo cierpliwa i spokojna. Jej spowiednik przyszedł ją odwiedzić. „Jakżesz jestem szczęśliwą, rzecze do niego, mogłam wysłuchać mszy św. Już dawno nie miałam tego

szczęścia! Nie jestem uleczoną to prawda, lecz niech się dzieje wola Boża. Nie chcę jak tylko tego co się Jemu podoba! Ale przynajmniej dzień dzisiejszy sprawił mi wielką radość“. Następnie odwiedziło ją kilka przyjaciółek i Sióstr ze szpitala. I w ten sposób upłynął poranek. Około południa opuściły ją Siostry, aby pójść do refektarza i Marya pozostała sama. Wtedy to uczuła tak wielkie osłabienie, że obawiała się, czy będzie mogła być obecną na nieszporach, nagle doznała wstrząśnienia wewnętrznego i jakby ukłucia... Rozważyła potem to długie pasmo cierpień i katuszy kilkoletnich, których końca niestety nie widziała; ciężką chorobę swej matki, swe opuszczenie i częste smutki... Lecz po smutnem tem rozważaniu nagle zajaśniał jej promyk ufności i nadziei, „Czy też czasem nie uleczyła mnie Najśw. Panna, pomyślała sobie, może będę mogła się podnieść“. Przez chwilę zawachała się, bo gdyby się podniosła, prawdopodobnie upadłaby całym swym ciężarem na ziemię, a nikt jej teraz nie będzie mógł podźwignąć, cóż się z nią stanie w takim razie? Czyżby to nie było nieroztropnością kusić się o coś takiego, czego się nawet spodziewać nie mogła w obecnym swym stanie? Lecz wiara niezłomna odniosła zwycięstwo nad tymi wątpliwościami. Ucałowała z zapałem cudowny medalik, który miała na sobie i z całego serca wymówiła to wezwanie: „O Maryo bez grzechu poczęta...“ oparła się dłonią o klamkę pobliskich drzwi i stanęła na nogach. I, o dziwy nogi jej silne, nie zginają się jak dawniej. Wzruszona do głębi serca, starała się swą niewypowiedzianą radość milczeniem pokryć; usiadła na sofie i przeczekała kilka chwil. Tymczasem skończył się posiłek Sióstr i jedna z nich, Siostra X., która nie brała udziału w nowennie, przyszła zobaczyć chorą. „Kochana Sio-

stro, rzecze jej Marya, — głosem, który wprawdzie jeszcze nie odzyskał pierwotnego dźwięku, ale przecież już wyraźnym — chciałabym wstać i przejść się trochę“. Siostra X. z początku się przestraszyła, lecz w tej chwili i w niej wzięła górę ufność. „Dobrze, odpowiada, powtórzmy tylko trzy razy wezwanie: „O Maryo bez grzechu poczęta...“ a potem wstań, ja cię będę podtrzymywała“. Powtórzono wezwanie, Marya się podniosła i przechadzała się po pokoju. Siostra patrzała na nią z drzeniem bojaźni. Ach! jakich to cudów dokazuje wiara niewzruszona“, zawołała z uniesieniem. „Przenajśw. Dziewica użycza mi łaski być pierwszym świadkiem cudu, którego się dopraszać nie miałam odwagi“. I oczy jej mimowoli zaszły łzami. Wkrótce przybiegły także inne Siostry; również i one nie mogły się powstrzymać od okrzyków uniesienia i radości. Z rozmownicy tej prowadziły drzwi do ogrodu; Marya udała się do tegóż, przeszła aleje i zatrzymała się u stóp statuy Niepokalanej Dziewicy. Tutaj odśpiewały Siostry wraz z kilkoma przyjaciółkami pacyentki z sąsiedztwa Magnificat na podziękowanie tej Matce Niebieskiej za cudowne uleczenie. Potem udała się Marya do swej matki ziemskiej, która od kilku tygodni mieszkała w tym domu na piętrze; była to prawdziwie miła niespodzianka.

Tymczasem wieść o cudownym uleczeniu rozeszła się po mieście lotem błyskawicy. Goście tłumnie napływali ze łzami w oczach, żeby powinszować Maryi, która nie zdołała wyrazić swej wdzięczności i radości; przyciskała tylko do swego szczęściem przepełnionego serca cudowny medalik.

Wieczorem pomimo wzruszeń w ciągu dnia Marya wsparta na ramieniu Siostry, udała się do kaplicy, gdzie bez zmęczenia przebyła na nieszporach i na ka-

zaniu. Lecz nie koniec na tem, — posłuchajmy jak się miała sprawa z jedzeniem. Podano jej jak zwykle mleka, ale to co jej od tylu lat wystarczało, teraz jej zaspokoić nie mogło, obudził się w niej utracony od dawna apetyt; zażądała więc posilniejszych pokarmów. Zaraz jej podano bulionu, jaj i ciastek, co wszystkich niemało zdziwiło. Nazajutrz wstała o godzinie 6 wysłuchała mszy św. bez pomocy obcej przystąpiła do komunii św. W ciągu dnia jadała razem z pensyonarkami. Na trzeci dzień t. j. 30 listopada po wspólnem odmówieniu różańca głos jej odzyskał pierwotny dźwięk; cudowne uleczenie więc było już zupełnem.

Od tego dnia prawie widocznie przybywało jej sił i nie pozostało ani śladu z dawnej jej słabości nóg. W dniu, w którym to piszemy, (7 lutego) Marya zajmuje się już bez wszelkiego zmęczenia dawną swą pracą.

Tak się przedstawiają gołe fakta, a przytaczamy je ze skrupulatną sumiennością, tak jakeśmy na nie patrzyli. Niemożebnem jest, żeby nauka chciała je wytłómaczyć w naturalny sposób. Słusznie możemy powiedzieć wraz z jednym ze znakomitych lekarzy, który ją odwiedził kilka dni po jej uzdrowieniu: „To doskonała kuracya! Cóż w takim razie będą robili ludzie fachowi, którzy tego sposobu leczenia nie znają?“

Nam, którzyśmy się trzymali na uboczu, kiedy chodziło o skonstatowanie cudu, nie wypada nic innego uczynić, jak dziękować Bogu za Jego dary, Dziewicy Przenajśw. za Jej macierzyńską opiekę i powtarzać z większą niż dotąd ufnością: „O Maryo bez zmazy poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy!“

Uzdrowienie uzyskane za pośrednictwem Świątobliwego Franciszka Clet.

List Siostry Mił. Balland, do X. Chevalier, asystenta Zgromadzenia Misyi.

Paryż 22 listopada 1893.

Najczcigodniejszy Ojcze!

Łaska Pana Naszego niech zawsze będzie z nami! Oto donoszę kilka szczegółów tyczących się dziewczynki, która jak mniemamy, odzyskała zdrowie za pośrednictwem Świątobliwego Franciszka Clet.

Dziewięcioletnia Marya Gilbert mieszkająca w Paryżu na ulicy Saint-Honoré, 398, cierpiała od pewnego czasu na ból szyi; wskutek tego głową była nachylona do ramienia. Lekarz oświadczył, że to jest Arthrisis i poradził odesłać ją do szpitala, gdyż ta choroba wymagała takiej opieki, której matka dziecięciu dać nie mogła; według jego zdania chirurg tylko mógł takowej dostarczyć.

Maryą Gilbert odesłano rzeczywiście do szpitalu 12 października, a lekarz tamtejszy był tego samego zdania jak ów, którego najsamprzód o radę zapytano.

Siostra w szkole parafialnej św. Magdaleny prowadząca tę klasę, do której uczęszczała Marya Gilbert, była żywo dotknięta jej stanem choroby. Spojrzawszy pewnego razu na obraz Świątobliwego Franciszka Clet, przyszło jej na myśl prosić Pana Boga o jej uzdrowienie za pośrednictwem tego męczennika, o którego beatyfikacyę w Rzymie się starają. W tym celu rozpoczęła nowennę z małymi towarzyszkami Maryi Gilbert i bardzo żarliwie ją odprawiano.

Siostra posłała pani Gilbert mały obrazek Świątobliwego Sługi Bożego, a ona znowu zaniosła go chorej córce, która również z wielką ufnością o wyzdrowienie prosiła.

Lekarz odbywający wizytę w niedzielę 15 października zastał Maryą Gilbert w daleko lepszym stanie, a po starannem zbadaniu przekonał się, że jest zupełnie zdrowa i kazał zdjąć bandaże.

Zjawienie się dziewczynki w szkole, którą, jak sądzono, opuściła na długie miesiące, było powodem bardzo wielkiej niespodzianki, a łatwo odgadnąć może jak wielkie były uczucia wdzięczności ku Bogu i ku wielkiemu pośrednikowi.

Chciej czcigodny Ojcze przyjąć uczucia szacunku

Twej pokornej i posłusznej córki w Jezusie Chrystusie
Siostra Balland.

Uzdrowienie za przyczyną Błog. Jana Gabryela Perboyre'a.

List pewnego profesora, lekarza przy szpitalu P. pisany do Siostry Miłosierdzia N.[1])

10 lipca 1893 r.

Czcigodna Matko!

Czcigodna Matka znajdzie tu w tym liście małą ofiarę, jaką chcę złożyć na podziękowanie za łaskę uzdrowienia, uzyskaną za przyczyną Błog. Jana Ga-

---

[1]) Tłomaczenie z Annales str. 530. 1893 r.

bryela Perboyre'a. Uzdrowienia mojego cudownem nazwać nie mogę, lecz bezwątpienia jestto szczególna łaska, którą Ten Błogosławiony męczennik mi wyprosił.

Utworzył mi się pod lewą pachą wrzód. Najlepszym rezultatem, ale też bardzo rzadkim, takiej choroby jest, że wrzód się rozejdzie bez ropienia; w tym przypadku choroby tej nazwać niebezpieczną nie można, a cierpienie z niej wynikłe nie jest zbyt przykre. Zwykły jednak przebieg choroby tej kończy się ropieniem wrzodu, a wtedy cierpienia są większe. Operacya jest wtedy konieczną i nie bez niebezpieczeństwa.

Mając więc do wyboru te dwa wyniki choroby, pragnąłem ma się rozumieć wyleczenia bez ropienia, lecz starania zapobiegliwe i modlitwy od początku choroby aż do 18 czerwca były bezskuteczne. Wrzód stawał się coraz boleśniejszy i nabrzmiewał tak, że jedynie można się było spodziewać co najwyżej tego, że rozejdzie się bez ropienia. Nie było to wprawdzie jeszcze niepodobieństwem, lecz możliwość ta była w każdym razie wątpliwa tak zdaniem mojem, jak i jednego z moich kolegów.

Rano 18 czerwca powziąłem myśl szukania przyczyny Błog. Jana Gabryela Perboyre'a, któregom sobie podczas Jego Beatyfikacyi obrał za patrona i codziennie się do niego modlił. Zawiesiłem relikwie jego na piersi i modliłem się z całą ufnością. Zaledwie upłynęło kilka godzin, a ku mojemu zdziwieniu ból prawie ustał, choć żadnego lekarstwa nie przykładałem na miejsce bolące. Sądziłem, że to było jakie chwilowe polepszenie, lecz dawna gwałtowna boleść zupełnie nie powracała. Pod koniec tygodnia wrzód wi-

docznie maleć począł, a z końcem następnego nie było i śladu choroby.

Stwierdzam więc, że wyzdrowienie takie jest czemś nadzwyczajnem i że otrzymałem je dopiero wtedy, kiedym się udał w modlitwie o wstawiennictwo Błog. Jana Gabryela Perboyre'a.

W każdym razie choćby wrzód się rozszedł, to do tego znacznego potrzebaby było czasu.

Całe to uzdrowienie jest więc łaską nadzwyczajną, z pominięciem zwykłego przebiegu podobnej choroby.

Proszę przyjąć Czcigodna Matko, wyrazy mego szacunku

oddany sługa

Profesor A. M.

Chiny.

Wikaryat Tsze-Kiang.

List X. Leperes'a kapłana Zgrom. Misyi do Imci X. Fiat generała tegoż Zgrom.

Najprzewielebniejszy Ojcze!

Już dawno obiecałem Ojcu Generałowi, że pierwszą kaplicę, którą otworzę, poświęcę ku czci Przenajświętszej Dziewicy. Ceremonie wstępne przy otwarciu kaplicy rozpoczęły się w początkach lutego pod przewodnictwem podprefekta z Quang-ngain. Katechumeni tak z miasta jak i z okolicy zebrali się licznie na toż miejsce. Nawrócenia w obwodzie Tay-tszen są bardzo liczne, tak że nie upływa ani jeden dzień, żebyśmy nie załączyli w rejestr katechumenów nowego członka. Z początkiem roku, według rachuby chińskiej przy-

było do dawnej liczby katechumenów przeszło 2000 nowych; obecnie nie liczę ich już nawet. Miesiąc czerwiec np. rozpoczął się obfitym połowem.

O milę od Lou-djiao leży wioska Kao-ling, której wszyscy niemal mieszkańcy przed kilkoma miesiącami przyjęli protestantyzm. Katechista protestancki (chińczyk rodem) robił wyszczególnienia i nieprzyjmował biednych. Otóż co się niedawno zdarzyło. Wezwano kiedyś owego katechistę, żeby załagodził spór który wybuchnął między mieszkańcem z Kar-ling i wieśniakiem z okolicy; z początku zdawało się, że katechumen protestancki weźmie górę, bo i prawo było po jego stronie, lecz niestety i tu pieniądze wieśniaka odegrały rolę miecza Brennusa na wadze sprawiedliwości, tak, że katechista protestancki swemu współwyznawcy nie przyznał słuszności. Po tych wypadkach spostrzegli mieszkańcy Kao-ling, że wiara ich stygnie powoli. I rzeczywiście następnej niedzieli udała się bardzo tylko nieznaczna liczba protestantów do Lou-dijao na nabożeństwo. Już dawniej oddali pastorowi europejskiemu swój zbór, żeby go przekształcił na kościół. On wzbraniał się uczynić zadość ich żądaniu i kazał im się udać do Lon-dijao mówiąc, że tak wielka liczba utwierdzi w wierze małą liczbę protestantów, tamże się znajdujących. Jednakże życzyli sobie niektórzy po tych wypadkach przyjść do naszego kościoła, lub też powrócić do bałwochwalstwa, niechcąc dłużej należeć do protestantów.

Ów, który ich nakłonił do przyjęcia protestantyzmu był katechumenem od pierwszego miesiąca według chińskiej rachuby. Przebywał pod La-kiao, dokąd przybył na uroczystość Zielonych Świąt. Zapytałem go się, czyby nie zechciał zwiedzić wioski i zapoznać się ze stosunkami mieszkańców Kao-ling;

przystał na moją propozycyę i wyjechał w wigilią Zielonych Świąt w towarzystwie pewnego współwyznawcy protestantyzmu.

W wigilią rzeczonych świąt przybyli do mnie reprezentanci wioski w liczbie 40 obojga płci, ażeby się nauczyć początkowych artykułów wiary. Przybyli dlatego w tak znacznej liczbie, ponieważ obawiali się, że wydrę im serce lub na miejscu uśmiercę. Moi współtowarzysze podróży powiedzieli mi, że protestanci (a przynajmniej w owych stronach) głoszą, że katolicy wydzierają każdemu serce i oczy. Te, jakoteż wiele innych kalumnii potwierdzili owi nowo nawróceni.

Widok naszych uroczystości i ozdoby kościoła pobudziły mieszkańców Kao-ling do porzucenia protestantyzmu i przyjęcia naszej wiary, bo, jak mówili, jest tutaj kult zewnętrzny, który tak za serce chwyta, a którego u protestantów nie ma. Odtąd została jedność i zgoda wioski utwierdzona pod tym jednakże warunkiem, że dotychczasowy zbór zostanie zamieniony na kaplicę.

Zgodziłem się na ten warunek, byleby tylko nie znalazł się żaden oponent. Chcieli mi zbór swój zapisać, lecz nie przyjąłem tej darowizny obawiając się, że mandaryn nie zechce jej zaregestrować. Trudności tej zapobiegłem w ten sposób, że kazałem im wyryć na kamieniu tego zboru te słowa: „Zbór ten został zamieniony na katolicką kaplicę za zgodą wszystkich mieszkańców“. Pozostało jeszcze 12 lub 13 bożyszcz, lecz nowo nawróconych nie można było w żaden sposób nakłonić do zburzenia tychże. W głębi ich serc przechowała się jeszcze jakaś obawa przed tymi bogami z ziemi i drzewa; obaj nowo nawróceni, którzy zwołali mieszkańców z Kao-ling, czynili jednak

przygotowania do ich burzenia. Po obwieszczeniu propozycyi, celem dowiedzenia się, czy są jacy oponenci wystąpiło dwóch palących opium, którzy się sprzeciwili burzeniu bożyszcz. Po dłuższym sporze postanowiono im dać bożka z drzewa, mającego około 2 m. wysokości, inne bożyszcza zrobione z gliny miały być zniszczone. Ugoda została zawarta, a moi bohaterowie zabrali się do burzenia. Mieszkańcy Kao-ling stali w pewnej odległości, bojąc się upadku największego bałwana, lecz skoro usłyszeli łoskot pierwszego upadającego bożka, zaraz wpadli do zboru i wszyscy chcieli się przyczynić do burzenia. Działo się to 1 czerwca. Obecnie żadnych bożków nie ma w Kao-ling. Następnie zabrano się do naprawienia uszkodzonych ścian zboru, a niedługo będzie z niego kaplica. W tej wiosce jest około sześćdziesiąt rodzin, jestto dość znaczna osada chrześciańska.

Nawrócenie mieszkańców Kao-ling jest jedynym wypadkiem godnym wzmianki w tym obwodzie. Również musiałem ustanowić kaplicę w Jen-lou-kouen, przedmieściu Lou-djiao; przedmieście to jest środkiem pomiędzy dziesięciu kanałami, jak to jego nazwa wskazuje: Jen-lou-kouen znaczy „dziesięć kanałów“. Znajduje się tam 40 rodzin chrześciańskich. Kaplica ta, podobnie jak w Kao-ling jest wystawiona kosztem katechumenów; katechetów zaś utrzymuje Misya. W Tzin-yang-dao znajduje się 20 rodzin; również tyle ich jest w Tzin-kan, w Ye-kan i w Sin-ho. Podprefektura w Nir-onain bardzo wiele obiecuje po sobie. Dwa wielkie miasta Uen-djiao i Ou-ngain także się skłaniają do przyjęcia katolicyzmu.

Katechumeni domagają się, żebym zwiedzał kaplice w ich siedzibach; nie pozostaje mi nic innego, jak oddać się w ręce Opatrzności. Co mnie dotyczy,

to niepodobna mi zaspokoić wraz z moim konfratrem wszystkich potrzeb katechistów, mało nas a jeszcze mniej środków. Ledwie mogę znaleść jakie takie pokrycie na ołtarz; wszystkiego brak.

Bóg, który tych poczciwców powołuje, przyniesie im także ulgę w ich biedzie; najwięcej daje się uczuć brak pracowników; bo kłos dojrzały i ciężarem swoim chyli się aż do ziemi, nadszedł więc czas żniwa. Katechumeni domagają się kazań, lecz któż pospieszy na ich wołania? *Parvuli petierunt panem, et non erat qui frangeret eis.*

Nakoniec chciałbym jeszcze coś powiedzieć o stolicy. W pierwszym miesiącu (według chińskiej rachuby) musiałem także kaplicę wybudować w Tay-tchou-fou; właśnie to jest owe miasto, skąd przybyli moi dwaj nowo-nawróceni bohaterowie. Religia tam szybkim krokiem postępuje, katechumeni są liczni — wszystko to obiecuje obfite żniwo.

Religia pomału i w innych miejscach się rozszerza tak, że zdawałoby się, iż się nareszcie Bóg zlitował, ażeby i tą część ziemi oświecić światłem łaski. Oby się te nadzieje jak najprędzej chciały spełnić.

Racz dać przewielebny Ojcze, swe błogosławieństwo temu, który ma szczęście nazywać się

Twoim najposłuszniejszym synem
X. J. Lepers,
n. k. Zgr. Mis.

Wikaryat Apostolski w Tche-Kiang.

List N. N. Siostry Miłosierdzia do Imci X. A. Fiat, przełożonego generalnego.

Wizyta odbyta u chorych w dolinie Kia-czing.

Najprzewielebniejszy Ojcze!

Dochodziła już czwarta godzina zrana, kiedy łódź XX. Misyonarzy odbiła od białego mostu, zwanego „mostem Anielskim". Celem tej jazdy była wioska w środkowem Kia-czing, dokąd kilku poczciwych Chińczyków zaprosiło Siostry Miłosierdzia. Nadto pewna bogata rodzina chrześciańska, która przybyła po Siostry, mówiła o dwóch robotnikach, którzy zajęci wyrabianiem prochu w straszliwy sposób się poparzyli. Zresztą, zacny misyonarz kazał nie żałować trudów w dniu przeznaczonym na zwiedzanie biednych, którzy jeszcze nigdy nie widzieli Sióstr, a tem mniej na zwiedzanie szpitali, do których możnaby przenieść biednych chorych. Pojechałyśmy więc, a tylko Siostra Przełożona została w domu.

Starałam się, żeby zabrać ze sobą, jak to zwykle czynię, obraz mej przemożnej opiekunki, Ludwiki de Marillac, który Ty raczyłeś Najprzew. Ojcze pobłogosławić, miałam go w kuferku i często wracałam myślą do niego, zwłaszcza gdy pomyślałam, że dzień ten ma być spędzonym ku większej chwale P. Boga.

Około południa przybyłyśmy do pięknej wioski To-ka, okolonej drzewami morwowymi, które stanowią granicę naszego powiatu. Wstąpiłyśmy do miejscowości Kun-so, gdzie jest kaplica chrześcian; przyjęły nas trzy panienki z rodziny, w której domu mia-

łyśmy się zatrzymać. Nie chcąc się szeroko rozwodzić nad naszymi przygodami, wspomnę tylko to, że zaledwieśmy opuściły łódź, zaraz nas proszono do owych dwóch poparzonych, z których jeden już miał dogorywać. Dowiedziałyśmy się, że lekarz Chińczyk nie robił już żadnej nadziei, pojechałyśmy więc natychmiast.

Nie mógłbyś sobie Najprzew. Ojcze nawet wyobrazić tego tłumu, który biegł przed nami, ażeby oznajmić o naszem przybyciu. Czemżeśmy to były? zwykłymi niewiastami, czy duchami, czy czem? Dość, że nasza przewodniczka powiedziała: „To są te dziewice chrześciańskie, które przybyły z Europy, ażeby dobrze czynić i przymnożyć chwały P. Bogu;“ a za poważaniem idzie sława.

Nareszcie przybyłyśmy do tych biednych poparzonych. Rodzice ich, przyjaciele i sąsiedzi wielce byli strapieni. Wobec groźnego stanu jednego z tych chorych nie pozostawało chyba nic innego, jak tylko pomyśleć o przygotowaniu pogrzebu. Biedak ten miał się wkrótce żenić; ślub jego miał się odbyć za osiem miesięcy.

Aż litość brała na sam widok jego; cała głowa aż po piersi była jak węgiel czarna, ręce poczynały gnić z powodu nieumiejętnego użycia różnych lekarstw. Następnie obejrzałam jego oczy i kazałam mu kilka słów przemówić. Po wezwaniu mej opiekunki, Ludwiki de Marillac, błagałam Boskiego Zbawcę, ażeby mi sam podał do serca słowa, którymi miałam przemówić do otaczających łóżko tego biedaka. Po kilku mych słowach widocznie wstąpiła otucha w ich serca, bo na wszystkich niemal obliczach, przed chwilą jeszcze zbolałych, pojawiła się radość i nadzieja.

Lecz lekarstwa, które miałyśmy ze sobą były

niedostatecznemi, gdyż dwóch chorych potrzebowało pomocy. Rozdzieliliśmy je więc tak, że większa część przypadła na tego, który go więcej potrzebował i kazałyśmy ich obydwóch przenieść do naszego szpitala, skoro to tylko będzie możliwem. Podawszy choremu lekarstwo do picia, błagałam wielebnej matki Ludwiki de Marillac, ażeby wyprosiła u Najsłodszego Serca P. Jezusa, do którego ona tak wielkie miała nabożeństwo, by lekarstwa te starczyły przedewszystkiem temu, który najwięcej ucierpiał, aż do tego dnia, w którym będzie go można przenieść do nas.

Lecz jakżesz tu wyjść z tego domu, kiedy setki ludzi formalnie oblegają drzwi? Nareszcie nasi przewodnicy zrobili przejście i odeszłyśmy. Podczas tego pochodu pytano nas o radę, przynoszono chorych, dzieci, ślepych; niewiele brakło, toby byli groby odkrywali i prosili o wskrzeszenie zmarłych. Rozdawałyśmy lekarstwa, które miałyśmy przy sobie choć bardzo niedostateczne, bo nigdyśmy się nie spodziewały, że takie tłumy będą żądały naszej pomocy. Wkrótce przybiegają sąsiedzi i składają w koszyku rodziny owego poparzonego, jaja, owoce itd. itd. Poczciwi ludzie, nie wiedzieli co zrobić, żeby nam pokazać swą wdzięczność; potem cały ten tłum odprowadził nas jakby w procesyi. Biegli po przez pola, nawoływali się — widać że byli szczęśliwi!

Udałyśmy się do owej zacnej rodziny, która nas zaprosiła. Kiedyśmy nadchodziły, zebrali się chrześcianie z okolicy, by nas powitać, zaś niewiasty niosły małe podarunki. Wkrótce i poganie przyłączyli się do tego tłumu. Było nam bardzo przykro, żeśmy już nie miały lekarstw dla tych poczciwych ludzi, lecz obiecałyśmy im, że wkrótce znowu ich odwiedzimy. I tak

nadeszła chwila, w której trzeba było udać się na naszą łódź.

Lecz i w ostatniej chwili miałyśmy jeszcze być świadkami ciekawego widoku. W miasteczku tem była w owym dniu, jak się już dawno domyślałyśmy, wielka komedya pogańska; tysiące zebrały się z okolicy, żeby się przypatrzeć sztuczkom komedyanckim. I cóż? W mgnieniu oka cały ten tłum opuścił plac widowiska i biegł po przez pola — wszyscy chcieli zobaczyć nasze białe kornety, dowiedzieć się, kto my jesteśmy, co nas w te strony sprowadza itd. Nie wyrządzono nam wprawdzie żadnej krzywdy, ani nie obrażano nas żadnem słowem, a jednak trudno nam się było przecisnąć do naszej łodzi. Opuszczałyśmy te miejsca z przekonaniem, że biedny ten lud już się nie będzie bał w chorobie przychodzić do szpitala Najsłodszego Serca, i że łaska Boża znajdzie sobie sposobną chwilę, ażeby uzdrowić ich dusze.

W cztery dni po tej nużącej lecz bardzo pomyślnej wycieczce zawołała mnie Siostra Przełożona. Jakaś łódź przybyła. Nie wierzyłam swym oczom, toż to nasz biedny poparzony, któremu już zamyślano grób kopać; przybył już niemal zdrowy. Lekarstwa wystarczyły aż do tego dnia, a teraz przyjechał po nowe. Pozostał u nas przez dwa dni, żeby zupełnie przyjść do zdrowia, wdzięczność jego nie znała granic. Skorzystano z jego pobytu w naszym domu, żeby mu wpoić pierwsze pojęcia o Bogu jemu nieznanym ja zaś dziękowałam z głębi serca Ludwice de Merillac, która jak się spodziewam, wyprosiła u Serca P. Jezusa, które ona tak kochała, zlitowanie dla tych biednych poparzonych, którzy odtąd błogosławią Boga chrześcian.

Uleczenie poparzonego z To-ka było już zupełne,

a wczoraj około jedenastej godziny proszono nas do innego poparzonego z Ta-kay-ye. W pośpiechu zabrałam ze sobą mały posiłek i pobiegłam do łodzi, która mnie miała zawieść do tego biednego poganina. W tej prędkości byłabym zapomniała ukochanego obrazka Ludwiki de Merillac, ale chyba mój Anioł-Stróż przypomniał mi go.

To co się działo w To-ka, powtórzyło się także tutaj Najprzew. Ojcze. Chory należał do rodziny chrześciańskiej. Mieszkańcy tej wioski jeszcze nigdy nie widzieli Sióstr, to też więcej niż stu cisnęło się do drzwi i okien. Odjechałam, unosząc ze sobą przeróżne błogosławieństwa, któremi mię ci poczciwi ludzie obsypywali, a którem wszystkie ofiarowała na większą chwałę Boga; ale ponieważ nie miałam już lekarstw, żeby je rozdać pomiędzy wszystkich tych, którzy przyszli mię prosić o radę, więc musiałam wrócić do domu, a ze mną druga łódź napełniona ludźmi, którzy w naszym domu mieli otrzymać to, czegom nie mogła dla nich zabrać. Miałam szczęście przywieść jednę chorą do naszego szpitala i małą dziewczynkę do ochrzczenia, której dałam przy tym świętem obrzędzie imię Ludwiki; wkrótce spodziewam się, przeniesie się do nieba, żeby podziękować swej patronce. Dzień ten był więc obfity w owoce. Odwiedziłam kapliczkę w Ta-kay-ye, wystawioną pod wezwaniem św. Wincentego; jest wprawdzie bardzo czysta, lecz razi jej ubóstwo. Obraz naszego św. fundatora jest z pod dobrego pędzla, lecz bardzo stary i nieoprawny, dla tego z powodu deszczów i wilgoci tego kraju bardzo szybko się psuje. Są tam i kwiaty, ale niepodobna się dopatrzeć ich pierwotnej barwy. Nie ma tam ani dywanu, ani stopni przy ołtarzu. Dlatego też dwie młode dziewczyny, najpobożniejsze z całej okolicy, prosiły

mię po cichu: „Czyby się Siostra nie mogła postarać o kilka kwiatów, o stopnie do ołtarza itd.“ Uśmiechnęłam się, lecz nie mogłam dać innej odpowiedzi jak: „W tym czasie jest to niemożliwem“, i pomyślałam sobie, że nawet kilka drobnych ozdób byłoby dostatecznem, żeby upiększyć tę biedną kapliczkę. Odwiedzają tę kaplicę często poganie, którzy łatwo mogą się przejąć pogardą dla wszystkiego, czego naucza nasza religia, skoro tak nędzne świątynie posiada.

Zachęcałam moich przewodników do gorliwości i mam nadzieję, że wkrótce nadejdzie ten dzień, w którym przyjmą naszą wiarę ci biedni Chińczycy z Takay-ye, którym proszę Cię Najprzew. Ojcze, abyś wraz z tą, która tak bardzo ukochała wszystkich niewiernych, pobłogosławić raczył.

Twoja najpokorniejsza córka
Siostra N.

Wspomnienia z misyj odbytych w r. 1895.

Ł. P. N. JChr. n. b. z z. n.

Czcigodny Księże Wizytatorze!

I. Rzezawa.

Prace nasze misyjne zeszłego roku zakończyliśmy w tarnowskiej dyecezyi w Tymbarku; tegoroczne wycieczki nasze również na tarnowskiej ziemi rozpoczynamy. Pierwsza z nich to Rzezawa w powiecie bocheńskim, parafia wiejska dosyć liczna. W tych stronach byliśmy dotąd prawie zupełnie nieznani — jednak dziwnym sposobem Bóg dobry zrządził, że nas do tej pracy wezwano i z taką życzliwością, jak rzadko gdzie

przyjęto. Widać tęsknienia nasze, jakie się już przy wypoczynku zeszłorocznym zaczęły odzywać, chciał P. Jezus upoić obfitością żniwa, jakieśmy tu zastali, a otwarciem serc księży i parafian, tudzież łaskami, jakiemi nam tu pomagał, odwagę i zapał do dalszych prac wzniecić.

Ruszyliśmy na tę misyą w sobotę wstępną postu 2 marca, by na drugi dzień pracę rozpocząć. Na dworcu w Bochni czekał na nas dawniejszy proboszcz rzezawski staruszek 78-letni X. kan. Jakób Przybyłło, którego sympatyczna i dziwnie milutka postać głęboko nam się później w sercach zapisała. Z nim zajechaliśmy do Rzezawy. Tu nas powitał obecny proboszcz X. Wojciech Rutkowski, tudzież wikaryusz jego X. Leon Miętus. Pogawędziliśmy trochę, zmówili pacierze i tak do wieczora zeszło. Na drugi dzień raniutko już kościół zaczął się zaludniać, ze wszystkich stron z poza płotów wyglądały to czapki baranie, to chustki barwne kompanij spieszących do kościoła na rozpoczęcie misyi oddawna zapowiadanej, której się przecie doczekali. Tak więc obawy nasze, że duże śniegi przeszkodzą przybyć ludziom okazały się płonnemi. Ksiądz wikaryusz w nauce po prymaryi jeszcze słowo zachęty rzucił, by się parafianie jak najliczniej na misyą garnęli i z tych dni zbawienia korzystali, ale to chyba i zbyteczne było, bo już widziano w kościele nawet i takich, którzy się najwięcej odgrażali, że na misyą nie pójdą. Rozpoczęcie misyi nastąpiło starym zwyczajem na sumie. Po wezwaniu pomocy Ducha św. wstąpił X. proboszcz na ambonę, by nas ludziom przedstawić. Gdzieindziej zazwyczaj od ołtarza nas witano, ale tu kościół duży, napchany tłumami ludu, więc wypadło od dawnej praktyki odstąpić. W krótkiej ale serdecznej przemo-

wie swojej rozwinął X. proboszcz tę myśl, że przed trzema laty Najprzewielebniejszy JE. X. Biskup Łoboś, zwiedzając Rzezawską parafię zauważył tu szczególnie naglącą potrzebę odnowienie kościoła parafialnego, gdyż gmach ten obszerny stylu józefińskiego zabrudzony, odarty, zdezolowany. W dekrecie informacyjnym tę też sprawę najwięcej mu polecił.

Sam atoli od czasu jak został proboszczem w Rzezawie, widział tu inną potrzebę jeszcze bardziej piekącą od tamtej. Dusze parafian jego — ta żywa świątynia (parafii Rzezawskiej) jeszcze bardziej zbrudzone kałem występków i grzesznych nałogów, niż kościoła parafialnego budynek. Zanim więc zdoła do restauracyi kościoła przystąpić, postanowił do gruntownego odnowienia dusz parafian swoich się zabrać i dlatego misyę urządza. To też JE. N. X. bp. dowiedziawszy się o tym jego zamiarze, ucieszył się bardzo i przesłał nam swoje błogosławieństwo. Po przemowie oddał nam parafią na czas misyi i udzielił błogosławieństwa pasterskiego. Po sumie wychodząc z kościoła rzuciliśmy okiem na te tłumy zepchane i mówimy do siebie: „Kto temu da radę! nas czterech — a ich kilka tysięcy“. Doprawdy aż strach zbierał do pracy przystąpić. Ludzie to kiedyś dosyć zamożni byli, ale z czasem przywykli do wędrówek po świecie, furmanek, bywania po miastach; stąd też wyrobiło się zaniedbywanie obowiązków religijnych, lekceważenie i opuszczenie nabożeństw, zatarła sumienność, poczucie sprawiedliwości zakorzeniło pieniactwo, włóczenie się i wystawanie po sądach, a przytem szacherki najrozmaitsze, aż się zagnieździło i to w najlepsze pijaństwo z całem pokrewieństwem i powinowactwem swojem. W każdej wiosce karczmy wspaniałe pobudowano, sklepiki w rękach żydowskich, ży-

dzi zakupili, albo w dzierżawę wzięli najpiękniejsze grunta i gospodarstwa, robotnik wyzyskiwany, a przytem demoralizowany do ostatka. Oto pokrótce przedstawiony stan parafii Rzezawskiej. Wszelkie usiłowania jakiejkolwiek odmiany na lepsze rozbijały się o chytrość i przebiegłość żydowstwa, jak niemniej i nieporadnoćć naszego chłopka, który łatwo w kałużę złego wejdzie, ale z wielką trudnością przypuszcza myśl, że się może ratować.

Rozdzieliliśmy misyą na 4 stany. Kobiet samych pomimo dokuczliwego zimna zbiegło się około 700 i trwały wiernie uczęszczając na nauki i nabożeństwa swojego stanu. Kiedy się ich misya skończyła, już mamy pomoc, bo rozbiegłszy się do domów, pokoju nie dały innym stanom — opowiadały nauki, czytania, spostrzeżenia swoje i tem zachęcały innych.

Po misyi kobiet wypadł jarmark wielki w Bochni. Jeden z parafian rzezawskich sprzedał na nim konika, a ponieważ to był nałogowy pijak, spotyka się ze starymi znajomymi i pozwala sobie po raz ostatni! Podobno połowę tego, co wziął za konia przepuścił i już późno w nocy wraca do domu. Żona mu przedstawia: „Bój się Boga, cóżeś ty zrobił?! Toż misyonarze krzyczą aż się serce kraje, — a tyś się upił?!“ — „No i cóż z tego, powiada, czekaj, jak ja pójdę i swego wysłucham, to będę jeszcze lepszy jak ty!“ — I dotrzymał słowa.

Dziewcząt było 550, chłopców 450 i mężczyzn 580. Ogółem z dziatwą szkolną wyspowiadało się około 3.500. To wszystko po większej części spowiedzi dożywotnie; gdyby nie pomoc miejscowych i kondekanalnych kapłanów, ani połowy nie zdołalibyśmy wyspowiadać. Do konfesyonału wyprzedzić się nie dał miejscowy X. Przybyłło — od świtu do zmroku spo-

wiadał pomimo podeszłego wieku — i zawsze najwięcej kartek przyniósł. Około połowy misyi dosyć zmęczony, zarzeka się: „No! jeszcze 200 wyspowiadam, a potem dam spokój“. Wyspowiadał 200 — i przychodzi do nas po dyspensę, bo ludziska się dopraszają — a on się zarzekł spowiadania. Prócz miejscowych dwóch księży kondekanalni nam wiele pomagali. Z Bochni był tu sam dziekan X. kan. Lipiński, dojeżdżali nadto X. Mucha z Okulic, X. Dańkowski z Krzyżanowic, X. Dr. Maciejowski dawny prof. w seminaryum tarn. obecnie beneficyat na Łapożycy, X. Kaczmarski z Pogwizdowa kilka mil przyjechał, a X. Piaskowy sąsiad z Brzeźnicy prawie ciągle tu przebywał. Kiedy ci przezacni kapłani przy natłoku zajęć parafialnych o kilka mil czasem spieszyli nam na pomoc, a lud poczciwy w pierwszej połowie misyi po śniegach i grudzie, w drugiej po błotach jakicheśmy chyba nigdzie nie widzieli, zbiegał się na nauki i całemi dniami o głodzie i chłodzie czekał aż się kratki dorwie i nam odwagi przybywało; chrypy, reumatyzmy i inne rozmaitości zaczęły dokuczać, a szło się jak na zabój! Działanie łaski Bożej było tu widoczne i prawie namacalne. Namowa do trzeźwości u pierwszego stanu tj. kobiet dosyć trudno do serc trafiała; ale kiedy one uległy, już nie $1/4$ ale połowa parafii zdobyta z innymi stanami daleko łatwiej poszło. Chłopiska zuchwali odradzali żonom, żeby nie przystępowały do Br. ś. Trzeźwości, niektórzy i bili za to; ale to nic nie pomogło, a najwięksi śmiałkowie skoro na nich kolejka przyszła, pierwsi przystali, jeszcze i za drugimi poszli, by ich przyprowadzić, słowem łowy na pijaków udały się tu znakomicie. I wypadkami nadzwyczajnemi nagonki te nasze Bóg wspierał. Przed misyą dosyć długo mieli księża tutejsi spokój: do cho-

rych nie wołano, pogrzeby rzadko bardzo się trafiały. Zaraz po rozpoczęciu misyi co dzień i to regularnie po 2 lub 3 fury do chorych i pogrzeby 1, 2, a raz nawet 3 odrazu. Tu znowu pożar w jednej z wiosek tu należących zniszczył folwark i kilka zabudowań z bydłem ze wszystkiem... *Haec sunt, quae faciunt verbum Dei!* To drudzy misyonarze, którzy obok nas szli przez Rzezawę. A co przytem jakichś dziwnych natchnień, widzeń, strachów! Niejeden spać w nocy nie mógł, rachuje grzechy i niemi głowę nabiwszy, zdrzemnął się, śni mu się o jakichś potworach, zrywa się rano co tchu i pędzi do kościoła, by jak najprędzej te „gady“ ze siebie wyrzucić.

Wyspowiadali się wszyscy, pijaństwa i karczem zarzekli wszyscy nawet dzieci nie wyjmując, ale co z tego będzie? To było pytanie, które nam nieraz na myśli stawało, a którego nie mogliśmy na razie rozwiązać... było to ziarno na misyi w te serca rzucone, czy się przyjmie i jakie owoce przyniesie, to ma przyszłość okazać. W dwa miesiące po tej misyi wypadło nam w powrocie z sąsiedniej parafii przez Rzezawę przejeżdżać; wstąpiliśmy do X. proboszcza, naturalnie przez kilka godzin rozmawialiśmy, a tylko o stósunkach parafialnych po misyi. Ze łzami uszczęśliwienia opowiadał nam ten czcigodny kapłan jak wszystko ku dobremu się zmieniło. Najzatwardzialsi pijacy, przystąpiwszy do Bractwa św. Trzeźwości potłukli flaszki i dzbanki, żeby im dawnych czasów nie przypominały. Na żydów zawzięci wszyscy. Żydzi widząc, że lud nie chce pić już wódki, zaopatrzyli zaraz karczmę we wino i nuże tłómaczyć ludziom, że wino pić można, boć i księża go używają. Lud jednak karczmy omija.

We wsi Borek osiadł przed kilkunastu laty żydek biedny, skupował jajka, skórki z królików, kości

etc. i na tym interesie złożył podobno 200 złr., za tę sumkę skleił karczmisko, a po kilku latach zakupił najlepsze grunta, gospodarzy na komorników przenicował, dziś ma ogromną nie karczmę ale oberżę we wsi, kilkanaście tysiączek w kieszeni tak, że już szynkarstwo wiejskie wypuścił w dzierżawę, a sam w pana się bawić począł. Z misyi natrząsał się, że mu nikt rady nie da. Ale niedługo spokorniał.

Po misyi na gwałt we wszystkich wioskach zakładają kółka rolnicze ze sklepikami katolickiemi. W Borku 3 gospodarzy założyło sklepiki na swoje ręce, a oprócz tego jeden wspólny kółka rolniczego. Kilka tygodni oberża sławna tego moszka stała pusto, podobno już myśli do Ameryki uciekać. W samej Rzezawie były 3 karczmy a 4 sklepiki, wszystko w żydowskich rękach. Po misyi gdy się nikt nie pokazywał w karczmie, rozpacz ogarnęła żydków i jeden już wyjechał za Oceany. A parafianie Rzezawscy powiadają sobie: „Oj! że też to P. Bóg nie natchnął naszego X. proboszcza prędzej, żeby tak przed 10 laty misyą taką sprowadził, mielibyśmy pieniądze, gospodarstwo, grzechów o połowę mniej a takeśmy i dziady i grzeszniki!“ Ks. wikary zakłada czytelnię, w szkółkach zaprowadził Dzieło św. Dzieciństwa i gorliwie pracuje nad jego rozkrzewieniem w parafii. Ks. proboszcz patrząc na to, niewiele mówi, ale tylko popłakuje z rozrzewnienia... A Nestor tutejszy, który bez mała 40 lat w tej parafii pracował, a przed kilku laty złożył urzędowanie pasterskie i tu jakby między dziećmi, wnukami i prawnukami osiadł, kiedyśmy z Rzezawy odjeżdżali, dziękował nam za już a prosił o jeszcze, i szepnął komuś, że się postara, żeby przynajmniej co 5 lat takie misye dawni jego parafianie mieli.

II. Brzeźnica (przy Bochni).

Z Rzezawy udaliśmy się na pracę misyjną do wioski i parafii najbliżej w sąsiedztwie położonej tj. Brzeźnicy. Znana to parafia naszym konfratrom z Kleparza, bo tu przed 4 laty pracowali. Tu także przed kilkudziesięciu laty pracował sławny nasz polski misyonarz O. Karol Antoniewicz T. J. Zajechaliśmy jak do swoich. Praca szła dosyć gładko, bo większa część parafian już poprzednio złożyła spowiedź z całego życia. Kółka i sklepik katolicki jużeśmy tu zastali, chodziło tylko o jego poparcie. Wahał się trochę X. proboszcz czy pozwolić na zaprowadzenie Bractwa św. Trzeźwości, ale wreszcie przystał i cała parafia do tegoż bractwa przystąpiła. Przy pomocy okolicznych księży wyspowiadaliśmy całą parafię, następnie oddaliśmy parafian w opiekę Najśw. Panny Maryi i postawiliśmy krzyż misyjny, by tem łatwiej mogli sobie Brzeźniczanie postanowienia na misyi uczynione przypominać, a zarazem korzystać z łask Kościoła do krzyża misyjnego przywiązanych.

III. Jasień.

Trzecią w tym roku misyę odbyliśmy w Jasieniu, również w sąsiedztwie Rzezawy. Nie tak daleka przestrzeń dzieli tę parafię od Rzezawy, a różnica wielka w ludzie dała się poznać. Proboszczem jest tu dawny profesor teologii moralnej w seminaryum tarnowskiem, a następnie proboszcz w Oleśnie. Przy powitaniu podał nam na arkuszu drobnego pisma instrukcyą o swoich parafianach. Tu się odbywała smutna scena (której się przed kilku laty gazety rozpisywały) walki nauczyciela z proboszczem. Nauczyciel ten nauczał w szkole, że przed P. Jezusem nie trzeba

klękać, że w kościele to tyle krzyżów, że nie wiedzieć który lepszy, że N. Panna to jest worek sieczki, a P. Jezus jak sowa itp. Wszystkie i tym podobne bluźnierstwa znalazły posłuch u wielu z parafian Jasieńskich. To też lud tu obojętny, do nabożeństwa ciężki, za to karczmy to ich delicye. Przyszli na misye wszyscy, spowiadali się, jak tylko kto chciał, parafia to niewielka, oprócz nas i proboszcza dopomagali nam sąsiedzi.

Do Trzeźwości św. zapisali się przeważnie wszyscy; pod koniec misyi radni i starsi gmin uradzili postarać się o założenie kółka i sklepu katolickiego; oświadczyli nawet dosyć znaczne kwoty na początek złożyć.

IV. Kasina Wielka.

Znowu wypadło nam się przenieść w Sandeczyznę, gdzie już 4 misye w ubiegłych dwu latach nasi konfratrzy odprawili. Spieszyliśmy więc jak w rodzinne strony. Kasina, parafia niewielka, bo zaledwie $2^1/_2$ tysiąca parafian licząca, wszystko w miejscu. Kościółek tu niewielki drewniany ale schludny i czysto utrzymywany. Misyą rozłożyliśmy na 2 serye, zabawiliśmy $1^1/_2$ tygodnia. Z kobietami praca szła lekko, bo to wszystko bystre, pojętne, jak góralki. Chłopi trochę zuchwalsi ale i poważniejsi. Targowali się długo czy przystać do Trzeźwości św. czy nie, ale nareszcie przystali wszyscy. Sklepik swój już mieli, żydek jeden na całą Kasinę się utrzymał, ale i temu odgrażali, że niedługo posiedzi. Zaznaczyć tu należy, jak również i w Jasieniu dziwnie budujące zachowanie się PP. Kollatorów na misyach. W obudwu tych miejscowościach, co nie wszędzie się zdarza, brali Kollatorowie udział, uczęszczali najregularniej na nauki i na-

bożeństwa misyjne, a na końcu przystępowali do św. Sakramentów z całą parafią. Na zakończenie misyi także przybyły tłumy ludu, że nawet procesya około kościoła odbyć się nie mogła, a obicie zewnętrzne kościoła ucierpiało. Tutejszy proboszcz X. Jan Kudrna gościnnością, życzliwością i dobrocią serca pozyskał sobie tu sympatyę na całą okolicę. To też sąsiedzi o kilka mil odlegli posłyszawszy, że tu misya się odbywa, spieszyli z pomocą. Niech ich Bóg za to w księdze żywota zapisze!

Proszono nas jeszcze, by tu i owdzie do znajomych sąsiadów zajrzeć, ale musieliśmy spieszyć do Krakowa, dokąd wyjechaliśmy 14 maja, by nieco wytchnąć, bo nowe prace czekały.

Oto Czcigodny Ojcze krótkie zestawienie naszych prac misyjnych z tego roku. Nie żałuje nam Bóg pracy, oby i sił przymnożył, byśmy podołać mogli wezwaniom, jakie się zewsząd odzywają.

Pozostaję w miłości Zbawiciela Pana

przywiązanym i oddanym sługą
X. J. Sokołowicz.

Niektóre szczegóły z życia Joanny Schwartz, Siostry Miłosierdzia, zmarłej w domu centralnym w Warszawie dnia 4 kwietnia 1894 r. mając 90 lat życia a 65 powołania.

(Ciąg dalszy). Niezwykły dowód roztropności dała w czasie, gdy miała opiekę nad salą mężczyzn w Krakowie. Podczas powstania w r. 1830 umieszczano wszystkich chorych bez różnicy w szpitalu św. Łaza-

rza. Pewnej nocy przyprowadzono rosyjskich żołnierzy. Trudna doprawdy rada; jakżeż bowiem umieszczać ich tam, gdzie są Polacy? Po krótkim namyśle kazała materace rozłożyć na obszernym korytarzu i sama zajęła się rozlokowaniem rannych. Rozgniewało to oficera rosyjskiego i wyrzucał jej, że się z jego żołnierzami obchodzi tak, jak gdyby psami byli, podczas gdy Polacy wygodnie sobie spoczywają na łóżkach w sali. Siostra odrzekła uprzejmie: „Uspokój się pan, bo dla dobra twych poddanych tak sobie postąpiłam. Prawda, że mamy w sali łóżka jeszcze niezajęte, jak sam to pan widzisz, lecz gdybym tam twoich żołnierzy umieściła, należałoby mi się obawiać, czy szpital nie stanie się widownią walki. Skoro tylko dzień nastanie umieścimy Polaków w jednej sali a was w drugiej; sam naocznie przekona się pan, że równą troską otoczeni będą". Kilka dni potem pewien żołnierz rosyjski, któremu w szczególniejszy sposób dla wielkiej jego choroby nie szczędzono niczego, utyskiwał, że z głodu umrzeć mu będzie trzeba, gdyż Siostra nie przyniosła mu na jego żądanie tych potraw, których mu lekarz dawać nie pozwolił. Kiedy tę sprawę badano, oddaliła się Siostra Schwartz, ażeby chorzy swobodnie swoje zdanie powiedzieć mogli. Niewinność Siostry wyszła na jaw. Nareszcie nadeszła — naturalnie w tym tylko celu, by stanąć w obronie moskala, któremu czynili różne wyrzuty jego koledzy.

Siostra Schwartz miała zawsze P. Boga przed oczyma, wiedziała, że On tylko sam sprawiedliwie sądzi nasze sprawy. Obojętna była na pochwały ludzkie, nagany nie mięszały jej wewnętrznego pokoju; tak się zachowywała, jak gdyby ani jednych ani drugich nie słyszała. Roznosząc pewnego dnia obiad

w sali, słyszała, że pewien chromy głośno wołał na infirmarza zajętego roznoszeniem porcyi. Siostra łagodnie go upomniała by nieco cierpliwym był i zaczekał aż infirmarz skończy swoje zajęcie. Chociaż jej grubijańsko odpowiedział, mimo to nie oburzyła się na niego i dalej zajmowała się rozpoczętą czynnością. Upewniona, że sumiennie spełniła obowiązek, zbliża się do chorego, podnosi go, by mu pomódz w przyjmowaniu posiłku. Nagle się zmienia chory i z rozrzewnienia zapłakał. „Cóż ci to jest mój przyjacielu — zapytała Siostra łaskawie — czyż nie dobrze sobie postąpiłam podnosząc cię?“ — „Ach! nie! — odrzekł — lecz ja skrzywdziłem Siostrę, byłem złośliwy i oburzałem się bez względu na to, że Siostra była tak dobrą dla mnie“. Siostra Schwartz pocieszała go mówiąc: „Nie myśl więcej o tem, bo choroba była powodem, że usta wymawiały słowa obelżywe, ale twoje serce było dalekiem od tego; teraz zrób mi za to tę przyjemność, że zaraz spożyjesz pokarm, który ci właśnie przyniosłam.

Oto jak prawdziwa córka św. Wincentego wzięła sobie jego radę od samego początku za praktykę: „Nie oburzajcie się nigdy na chorych, bo oni już tak mają wiele do cierpienia; bądźcie dla nich aniołem stróżem, ojcem i matką!“

W Sandomierzu znajdował się pomiędzy chorymi były oficer z armii polskiej, który utyskiwał, że się nie chciano zastósować do jego woli. Zwróciwszy się pewnego razu do Siostry Schwartz, rzekł dumnie: „Jakżeż toośmiela się Siostra niesłuchać mnie, który jestem kapitanem“. — „Niech kapitan nie zapomina, odpowiedziała Siostra, że w tej sali jestem generałem i że mnie słuchać powinni chorzy, jeśli chcą odnieść

zwycięstwo nad złem, które ich tutaj zatrzymuje". Te słowa płynące z dobrego serca rozbroiły oficera.

Siostra Schwartz wstępując do Zgromadzenia oddała mu się zupełnie. Nie pojmowała jakby Siostra Miłosierdzia mogła szukać co innego jak wypełnienia we wszystkiem woli Bożej i sumiennego sprawowania obowiązków swego stanu. W późnej starości mawiała, że nigdy nawet na myśl jej nie przyszło, by odbyć jakąś podróż lub małą przejażdżkę. „Ach! jakaż to ważna rzecz, dodawała, nie zaniechać i nie opuszczać się w swoich obowiązkach!" Gdy pewnego razu rozmawiano o nabożeństwach kościelnych, powiedziała, że się jej zawsze bardzo podobały i z tego powodu była w dniu imienin na sumie i na kazaniu. „Pojmuję, że mnie Zbawiciel chciał nauczyć, że wierność w obowiązkach bardziej Mu się podoba, aniżeli zewnętrzne oznaki pobożności, gdyż za powrotem przekonałam się, że zastępująca mnie Siostra pomyliła się w rozdawaniu lekarstwa. Czyż zresztą nie poleca nam to samo św. Wincenty w regułach?"

„Bóg chce, byśmy nietylko zaopatrywali doczesne potrzeby bliźnich, ale także niczego nie szczędzili, by zbawić ich dusze". Tak mówiła pobożna Założycielka do swych pierwszych córek. Siostra Schwartz zastósowała się do słów Założycielki, wszystkie jej czynności i modlitwy dążyły do tego, by dusze pozyskać Bogu lub dopomagać im w chwaleniu Stwórcy. Sprawa to zwłaszcza z mężczyznami trudna, lecz Bóg pobłogosławił gorliwości drogiej Siostry, sam zdawał się ją oświecać, co się tyczy stanu duszy. Na pierwszy rzut oka poznała, którego dusza znajdowała się w niedobrym stanie. Tak np. domyśliła się, że młody człowiek, który niedawno przybył do szpitala, dawno się już nie spowiadał. Był właśnie czas wielkanocny;

sądząc, że to stósowna pora, zbliżyła się do chorego i tak przemówiła: „Zapewne już od dawnego czasu pan się nie spowiadał; ach! jakżeż miło byłoby panu, gdyby się pan zbliżył znowu do Boga!“ — „W Wielkanoc się spowiadałem“, rzekł chory. „Tak w Wielkanoc ale nie tego roku“, odpowiedziała Siostra. Chory się zarumienił i umilkł. „Nie trzeba więc odwlekać, ma pan przytomność aby się przygotować do spowiedzi św., a potem sam się przekonasz, jak dobry jest Bóg“. Kiedy nadszedł dzień przeznaczony dla spowiadania się chorych, także ów młody człowiek wziął jak inni książkę modlitewną, ażeby się przygotować do sakramentu Pokuty. Wyrzuty sumienia tak go dręczyły, iż sądził, że sobie ulży, gdy Siostrze wyzna, że się przed dziesięciu laty po raz ostatni spowiadał. Odwagi mu dodawała Siostra, przypominała mu nieskończoną dobroć Boga i przywołała spowiednika na jego żądanie. Kilka dni po opuszczeniu szpitalu pisał do niej: „O! jakżeż jestem szczęśliwy! Siostra Joanna mało mówi, ale trudno jest się jej oprzeć“.

Innego razu spostrzegła, że pewien chory nie życzy sobie widzieć się z księdzem. „Mój przyjacielu! rzekła do niego, widzę, żc jesteś bardzo cierpiący, ale ksiądz jest w sali, przygotuj się na jego wizytę; przekonasz się, że uzdrowi twoje ciało i twą duszę“. — „Jestem protestantem“, szorstko odpowiedział na łagodne przemówienie Siostry. Wtedy oddaliła się Siostra i poleciła jego duszę Bogu. Już po kilku godzinach przyniosła modlitwa pożądany owoc. Chory zdawał się być zaniepokojony i przygnębiony na duchu. „Cóż to, czyż bardziej jesteś cierpiący“, zapytała go Siostra łaskawie. „Chciałbym się wyspowiadać!“ Kiedy mu Siostra powiedziała, że już jest za późno, ażeby kapłana zawołać, płacząc wołał: „Jestem katolikiem,

tutaj czekał Bóg na mnie, wyrzuty sumienia mnie dręczą, chcę się wyspowiadać". Siostra Joanna go pocieszała, pobudzała do skruchy za grzechy i ufności w miłosierdzie Boskie, a chory po przyjęciu sakramentów św. budował wszystkich.

Siostra Schwartz była także bardzo zręczna w urzędzie apostolskim. Kiedy pewien protestant ją prosił, aby kazała naprawić stół stojący obok jego łóżka, skorzystała z tej okazyi. „Prawda, powiedziała, że nogi tego stołu nadwerężone i że takowy naprawić trzeba, ale także i to prawda, że religia protestancka nie ma podstawy jak ten oto stół". Nazajutrz przypomniał chory Siostrze jej wczorajszą mowę. „Czyż więc nie ma moja religia żadnej wartości, zapytał ją, jeżeli ją Siostra przyrównywała do chwiejącego się stołu?" — „Jedyna tylko religia katolicka jest dobra, ona tylko sama pochodzi od Boga, ponieważ P. Jezus dał jej początek; poza jej obrębem zbawić się nie można". A kiedy ją zapytał: „Czy mu będzie poczytane za grzech, że wyznawał religią protestancką", odpowiedziała: „Pan nie jest wcale odpowiedzialny za to, że się urodził i wychowany został w religii protestanckiej, lecz Bóg, który w nieskończonem swojem miłosierdziu ma szczególniejsze zamiary względem pana, nastręcza sposobność wyuczenia się zasad wiary katolickiej. Źle więc postąpiłby pan, gdyby zaniedbał skorzystać z tak dobrej okazyi". Kilka dni po tej rozmowie powiedział jej chory, że ciągle przychodzi mu na myśl chwiejący się stół i dodał: „Wierzę, że moja religia nie jest prawdziwą, chcę się wyuczyć zasad religii katolickiej". Tak więc w szpitalu obok zdrowia ciała uzyskał skarb jeszcze droższy: wiarę prawdziwą.

Poświęcenie bez granic okazywała Siostra Jo-

anna także w pośród swoich; tutaj również zapomniała o samej sobie. We wszystkich domach, dokąd ją zaprowadziło posłuszeństwo; była prawdziwą osłodą dla towarzyszek i wzorem godnym do naśladowania. Ta prosta dusza szukała Boga w prostocie i znalazła Go dzięki temu tak u swoich przełożonych, jakoteż w równych sobie. W szczególniejszy sposób budowała wszystkich przez wielkie przywiązanie do reguł św. „Największe to zmartwienie dla mnie jest, mawiała w starości, gdy nie mogę wstawać o czwartej godzinie. Czyż nas nie pouczał święty nasz Ojciec, że od rannego wstawania zależy rozmyślanie, a od rozmyślania łaska wytrwania w powołaniu? Od tej pierwszej czynności dnia zależy dzień cały, gorliwość uzyskana na rannem rozmyślaniu ożywia wszystkie czynności spełniane w ciągu dnia“. Gdy zwracamy pilnie uwagę ten punkt reguły, świadczy to o naszej wierności w dokładnem wypełnianiu innych reguł. Dzwonek zdawał się ją elektryzować, jeżeli wolno użyć tego wyrażenia, zastawał ją zawsze gotową opuścić wszystko, ażeby udać się tam, dokąd ją Bóg wzywał.

W r. 1852 otworzyło się dla jej gorliwości obszerniejsze pole działania, a już wprowadziła w czyn słowa Założycielki: „Mułami kongregacyi powinne być te, które mają jakie obowiązki“. Najbardziej ją bolało to, że wkrótce w Warszawie znaną się stała Siostra przełożona ze szpitala św. Rocha. Jeden dawny bardzo dobry służący mawiał później młodym Siostrom złośliwie: „Siostra Joanna doskonale obracała szczotką przez cały czas jak tu była, a nie przeszkodziło jej to do wizytatorstwa“. Dobrą była dla wszystkich towarzyszek bez wyjątku, pragnęła, by wszystkie należały do Boga, w nim je kochała. Dyrektor prowincyi warszawskiej mawiał, że odczuć mo-

żna słodki pokój, gdy się przychodzi do św. Rocha sądzićby można, że tam jest nieznaną różność charakterów i małe nędze ludzkie.

Znaną była powszechnie Siostra Schwartz; nikt nie wątpił o jej cnocie i dlatego powierzono jej ważniejszą rzecz, aniżeli pielęgnowanie chorych. Wprzód nauczała przez dobry przykład i dlatego zostawszy wizytatorką tak mówić mogła do Sióstr: „Nie żądam rzeczy niepodobnej, gdyż wiem z doświadczenia, że z pomocą Bożą dochodzi się do pewnego rezultatu, jeżeli się ma chociażby małe tylko zaparcie samego siebie i szczerą wolę do pracowania nad duszami i dla Zgromadzenia". Właściwie Siostra Joanna nie rozkazywała ale prosiła idąc w tem jak zresztą we wszystkiem za radą św. Wincentego. Takie postępowanie miało ten skutek, że posłuszeństwo stało się słodkiem i że poważano i kochano władzę.

Siostra Schwartz musiała także kroczyć po drodze bolesnej, ażeby się spełniły słowa Zbawiciela: „Nie jest uczeń nad mistrza swego". Jako wizytatorka zajęła miejsce Siostry Żukowskiej w kwietniu r. 1859 z tego powodu, że Siostra Żukowska, kochana i poważana przez wszystkich, była już prawie niewidoma i wiekiem złamana. Dyrektor w Warszawie widząc, że Siostra Żukowska nie ma już potrzebnych sił do sprawowania urzędu wizytatorki, przychylił się do jej prośby i na jej miejsce zamianował Siostrę Schwartz kierując się w tem ogólną opinią. Nominacya jednakowoż była nielegalna. Miała się ona stać powodem niezliczonych przykrości dla Siostry Schwartz. Ażeby to należycie zrozumieć, trzeba się przypatrzyć tej prowincyi od początku jej założenia.

Na prośbę Maryi Ludwiki Gonzagi, małżonki króla Jana Kazimierza wysłał św. Wincenty i Panna

le Gras w r. 1652 do Warszawy Siostrę Małgorzatę Aboreau z dwiema towarzyszkami. W sześć lat potem ustanowiono seminaryum w zakładzie św. Kazimierza przeznaczonym wyłącznie dla Sióstr i sierót i tak dom ten stał się centralnym domem Polski. W przeciągu ośmiu lat wysłano z Francyi około 20 Sióstr do Warszawy i aż do wielkiej rewolucyi pochodziły wszystkie wizytatorki z Francyi; ostatnią była Henryka Thierry, która umarła w r. 1804. Ernestyna Hundt, która po niej nastąpiła, była z seminaryum warszawskiego; Siostrę zaś Bożuchowską obejmującą jej urząd mógł zamianować tylko wizytator z Warszawy, na którego X. Hanon dekretem z 13 maja 1809 r. przeniósł całkowite pełnomocnictwo.

Stosunki między Warszawą i Paryżem przerwane wskutek rewolucyi i nieszczęść, które jej towarzyszyły, nie mogły być tak łatwo przywrócone. Warszawa dostawszy się w r. 1815 pod rząd rosyjski, zwolna utraciła swobodę, a nieubłagane prawo zakazywało Siostrom Miłosierdzia pod karą wygnania znoszenia się z wyższemi władzami. Jakkolwiek znoszenie się z Paryżem było bardzo utrudnione i różne nadużycia się wkradały jak np., że przedsiębrano ważne rzeczy bez pozwolenia przełożonego, to przecież córki św. Wincentego i Panny le Gras dbały, by postępować drogą legalną; w dyrektorze prowincyi, przed którym złożyły śluby, widziały św. Wincentego.

W takim stanie znajdowała się prowincya warszawska, kiedy Siostra Schwartz opuszcza szpital św. Rocha i obejmuje urząd wizytatorki w domu św. Kazimierza. Wtenczas właśnie, kiedy dyrektor zawiadomił Ojca Generała, że na wizytatorkę wybrał Siostrę Joannę Schwartz i prosił, ażeby potwierdził ten wybór, dopuścił Pan Bóg, że przed nim oskarżono dy-

rektora z Warszawy, jako przywłaszczającego sobie prawa generała. O to samo oskarżono Siostrę Schwartz. Jednem słowem dyrektora i Siostrę uważano za twórców schyzmy, a Siostrę Żukowską, która prosiła o zwolnienie z urzędu, jako ofiarę ambicyi. Bez odpowiedzi pozostał list wizytatora zaadresowany do Ojca Etienne. Siostra Schwartz zastanawiając się w sercu nad niezadowoleniem i krnąbrnością niektórych Sióstr domyśliła się na co się zanosi i codziennie u stóp ołtarza brała na ramiona ciężki krzyż, ażeby pójść w ślady Boskiego Mistrza.

Okoliczność opatrznościowa objaśniła ją o tem, czego dotychczas nie wiedziała. List, który przypadkowo dostał się do jej rąk, wytłómaczył jej usposobienie Ojca Etienne, przed którym fałszywie ją oskarzono, że sobie sama przywłaszczyła urząd wizytatorki.

Wzniosła się po nad wszelkie namiętności, które duszę w czasach próby czynią bezsilną i poddają zniechęceniu. Widziała, że jest ofiarą czarnego oszczerstwa. Bóg atoli zesłał to cierpienie na nią, ażeby cnota tej pobożnej Siostry zajaśniała w całym blasku. Jakkolwiek jej zgryzoty żadna uciecha zewnętrzna osłodzić nie mogła, zapomina przecież o własnem cierpieniu i tylko to ją boli, że zmartwiony Ojciec Etienne uważa prowincyą warszawską za obcą Rodzinie św. Wincentego i z tego powodu odmawia jej swego błogosławieństwa i pozwolenia złożenia ślubów młodym Siostrom. Wśród takiej okoliczności powzięła energiczne postanowienie i natychmiast je wykonała: „Rzucę się do stóp czcigodnemu Ojcu, zapewnię go o wierności córek w Polsce i wiernie zastósuję się do jego woli“. Ażeby mieć pojęcie o wielkości przedsięwzięcia, trzeba rozważyć niektóre okoliczności.

Siostra Schwartz nie rozumiała ani jednego słowa po francusku; największa jej podróż była z Warszawy do Krakowa, a nadto była kulawą. Przełożeni, którzy jej nie znali dobrze, sądzili, że dlatego odłącza się od całego Zgromadzenia, by sobie przywłaszczyć tytuł generalnej wizytatorki. Wreszcie w jaki sposób otrzyma od rządu paszport, jeżeli znoszenie się z przełożonymi zagranicznymi jest wzbronione? Żadna z powyższych uwag nie mogła jej stanąć na przeszkodzie w natychmiastowem wypełnieuiu postanowienia. „Chociażby umrzeć w podróży, ale moim obowiązkiem jest udać się do Paryża; o paszport udam się do księcia Gorczakowa, gubernatora Warszawy, gotowa jestem rzucić mu się do nóg, jeżeliby się nie przychylił do mej prośby“.

Książe z początku osłupiał; nie mogąc się atoli oprzeć prośbie pokornej Siostry, kazał wydać paszport dla niej i dla jej towarzyszki.

Oto co później opowiadała. „Ach! jakżeż moje serce biło w miarę, jak się zbliżałam do Paryża, nigdy nie zdołam opowiedzieć, co się wówczas działo ze mną; możebym nie była tego przeniosła, gdyby mnie nie był wspierał dobry Bóg. Rzuciwszy się na kolana przed Matką Boską w kaplicy macierzyńskiego domu i pomodliwszy się kilka chwil na grobie czcigodnej Założycielki, uczułam nowe życie w sobie. A kiedy mnie zaprowadzono do czcigodnej Matki Devos, uczułam się nader szczęśliwą; nigdy nie spodziewałam się tak miłego i miłością tchnącego przyjęcia! Nie umiejąc po francusku nic do niej nie przemówiłam, towarzyszka mówiła za mnie, ale czułam, że mnie Matka zrozumiała. Tak mile i litościwie na mnie patrzała, iż zapomniałam, że stoję przed przełożoną

Zgromadzenia, widziałam w niej tylko dobrą i czułą matkę!“

Siostra Joanna miała zawsze przed oczami tę czułą scenę; gorzko zapłakała w następnym roku na wiadomość o śmierci Matki Devos.

Czcigodny Ojciec Etienne był bardzo wzruszony widząc u swoich stóp Siostrę Schwartz, która się nie usprawiedliwiała, ale zapewniała o swojem posłuszeństwie i gotowości zastósowania się we wszystkiem do jego woli. Póżniej powiedziała do Sióstr, kiedy im opowiadała spotkanie się z Ojcem Generałem: „Klęcząc przed nim w te słowa się tylko odezwałam: „Jestem twoją córką, czcigodny Ojcze, nie przestałam być córką św. Wincentego; powiedz mi, że jesteś moim Ojcem!“

·Przewielebny Ojciec Generał z natchnienia boskiego postanowił uczynić stanowczy krok, ażeby uregulować sprawy w prowincyi warszawskiej. W tym celu wydał rozkaz, ażeby Siostry uroczyście oświadczyły, że we wszystkiem bezwarunkowo ulegać będą prawej władzy Generała Zgromadzenia Misyi, że za bezpośrednich przełożonych prowincyi lub ich domów uznawać będą tylko te i tych, których zamianuje X. Generał i że natomiast za nieprawne uważać będą każde zamianowanie tak ze strony władzy kościelnej, jakoteż wizytatora Zgromadzenia Misyi. Nadto oświadczyć powinna, że wizytator na podstawie swego urzędu nie ma żadnej władzy nad niemi, chyba że go do tego upoważnia list napisany własnoręcznie przez X. Generała. Z tego zaś wynika, ażeby uważały za nieprawne zamianowanie obecnej wizytatorki i odmówiły jej posłuszeństwa. S. Schwartz polecił, ażeby we wszystkich domach prowincyi odczytała Jego wolę

przed zgromadzonemi Siostrami i zażądała podpisu od każdej z osobna.

Skoro tylko S. Schwartz powróciła do Polski, uważała sobie za święty obowiązek wypełnić natychmiast dane polecenie; 16 sierpnia 1859 pierwsza się podpisała, a za jej przykładem poszła Siostra, która z nią wyjechała do Paryża, Siostry służebniczki i pięć innych Sióstr z domu centralnego. Zwiedziwszy wszystkie domy prowincyi, przybyła także do domu św. Kazimierza, gdzie się znajdowała Siostra Żukowska. W następnym dniu dopełniła tego aktu we wszystkich domach warszawskich; na końcu przybyła do szpitalu św. Rocha, gdzie przed kilku miesiącami błogie spędzała godziny i gdzie przełożoną była rodzona jej siostra.

„Przy podpisywaniu się łzy wylewałyśmy — mawiały później Siostry — ale otuchy dodawała nam Siostra Schwartz; pocieszała nas zapewniając, że się niezmiernie cieszy z tego, iż teraz na równi stoi z nami“.

Podpis wszystkich Sióstr wysłano do Paryża. W kilka tygodni później otrzymała S. Schwartz list od Matki Devos datowany z 15 października 1859 r., ażeby z polecenia Ojca Etienne zamieszkawszy w domu św. Kazimierza objęła obowiązki wizytatorki pod warunkiem, że zawisłą będzie od dyrektora i wizytatorki sąsiedniej prowincyi. Taki stan rzeczy miał trwać aż do nowego rozporządzenia ze strony X. Generała. Położenie S. Schwartz łatwo można sobie wyobrazić. Pokornie poddała się woli X. Etienne, jak gdyby przeczuwała, że Bóg ją wkrótce wywyższy.

W czerwcu 1860 r. przybywa X. Generał do Polski, zwiedza nasamprzód dom centralny w War-

szawie, ustanawia dyrektorem X. Dmóchowskiego i mianuje na zawsze S. Schwartz wizytatorką.

Teraz mogła zawołać z głębi serca: „Nunc dimittis“, bo próba już skończona, następca św. Wincentego już na chwilę nie powątpiewał o wierności przełożonej Zgromadzenia. Czem złoty promień słońca po burzy, tem była podróż X. Etienne dla całej prowincyi, a zwłaszcza dla S. Schwartz. Powszechną radość powiększył jeszcze prześliczny cyrkularz X. Generała z 12 lipca 1860 r. podnoszący przywiązanie Sióstr warszawskich do przełożonych i zapewniający, że dwa wieki nieszczęścia nie potrafiły z serc wyrugować dziecięcej miłości i przywiązania do Zgromadzenia.

Z posłuszeństwa przyjęła obowiązki wizytatorki, lecz któż wypowie, jak szczęśliwą byłaby, gdyby inna Siostra ten urząd objęła. Całe jej życie było nacechowane pokorą; znieść nie mogła, by w Zgromadzeniu robiono jakie wyjątki dla niej.

W późniejszych jej latach przygotowywano lepszą zupę dla niej. Spostrzegłszy pewnego razu, że dostała lepszy rosół, swój talerz podała najmłodszej seminarzystce. Żyć w ukryciu — oto cała ambicya S. Schwartz; największą przyjemność znajdowała w wspólnych zajęciach Zgromadzenia. Sama naprawiała sobie pończochy i suknie; tylko wtenczas mogły inne Siostry ją zastąpić w tej pracy, gdy palce wskutek reumatyzmu igły utrzymać nie zdołały. Zamiłowanie w pokorze i ubóstwie było powodem wszelkiej przykrości, gdy jej przyniesiono nowy ubiór; tysiączne miała wymówki, gdy jej takowy ofiarowano.

„W naszej dobrej wizytatorce widziałam zawsze wzór córki miłosierdzia — mawiała jej asystentka — trudno powiedzieć, która z cnót naszego stanu bardziej ją cechowała. Żadna ofiara nie była zbyt wielką

dla niej, gdy chodziło o utrzymanie zgody i jedności Sióstr. Ach! ileż aktów zaparcia się i pokory spostrzegłam w ostatnich jej latach! Czasem sądziłam, że się mniej upokarzać powinna, ale z drugiej strony uwielbiałam ją jeszcze więcej wiedząc z doświadczenia, że cnota ta daje nowego blasku powadze. Jakkolwiek miała bardzo czułe serce, nigdy przecież nie wspominała o krzywdach, które jej wyrządzono, a jeżeli kiedykolwiek o nich wspomniała, czyniła to dlatego, by pokazać, jak wielką ufność i przywiązanie żywi do tych osób, które ją skrzywdziły".

„Nigdy nie zapomnę — mówi inna Siostra — jak wielkie wrażenie wywarła na mnie jej miłość macierzyńska. Pewnego razu odprowadzałam do domu centralnego Siostrę, która miała słuszne powody do obawy pokazać się tamże. Zamiast robić jej gorzkie zarzuty, uprzejmie przemówiła: „Witam cię, doprawdy cieszę się bardzo z twego przybycia. Twoja dusza pragnie kilku dni spokoju, po małym wypoczynku powiem ci, jak dobre miejsce przygotowałam dla ciebie w tej nadziei, że tam gorliwie pracować będziesz dla dobra Zgromadzenia". Biedną Siostrę rozczuliła dobroć S. Schwartz — od tego czasu usilnie pracowała, by być godną córką Zgromadzenia.

Jak z jednej strony S. Schwartz była surową dla siebie, tak z drugiej strony wszelkiemi siłami się starała, ażeby chore Siostry były otoczone najczulszą opieką; największa była dla niej przyjemność dodawać im otuchy w cierpieniu, osłodzić ich smutki. Nie dziw, że wszystkie twarze się rozjaśniały, gdy wizytatorka weszła do infirmeryi. Delikatnie się obchodziła z Siostrami domu centralnego, a ufność, którą pokładała w każdej z nich, sprawiała, że mniej przykrymi wydawały im się obowiązki. W prostej formie

wyrażała swoje pragnienia i uwagi sądząc, że im wystarcza proste życzenie, by się zastósować do jej woli; we wszystkiem się zresztą spuszczała na poświęcenie towarzyszek.

Pewnego razu pisała: „Już czuję brzemię lat, zdaje mi się, że już nie powinnam mieć na sobie tak wielkiej odpowiedzialności, ale X. Generał życzy sobie, bym ten urząd piastowała i to mi wystarcza“. Jej dusza prosta najlepiej jest scharakteryzowana w tych słowach: jest posłuszna, a wskutek tego doznaje słodkiego pokoju.

Jak szanowała swoich przełożonych, najlepiej świadczy o tem następująca okoliczność: ile razy otrzymywała z Paryża list, jej twarz się rozjaśniała, całowała go i na klęczkach odczytywała; następnie ucieszona, że się może podzielić z swą radością, opowiadała maluczkiemu Zgromadzeniu, co się dzieje w macierzyńskim domu. Ten sam szacunek okazywała dyrektorowi prowincyi. Czterech misyonarzy, którzy byli dyrektorami, umarło, a ich stratę bardzo odczuwało jej serce. Nigdy nie zaszło najmniejsze nieporozumienie między nią a nimi — przeciwnie każdy z nich oddawał hołd jej cnocie i czcił ją jako prawdziwą córkę miłosierdzia.

Często ją widywano u bramy w godzinach, kiedy rozdawano jałmużnę; naturalnie udawała się tam dlatego, ażeby do ubogich uprzejmie przemówić i dowiedzieć się o ich potrzebach. Jeżeli Siostra obarczona tym obowiązkiem się spóźniała, sama ją odszukała i łagodnie upomniała, że biedny nie powinien nigdy tak długo czekać na wsparcie. Kiedy w święta uroczyste wielu przybywało do kaplicy św. Kazimierza i miejsca zabrakło, wprowadzała do swej ławy najuboższych. Jej towarzyszki mówiąc o miłości S.

Schwartz ku ubogim i ufności, którą położyła w Bogu, zapewniają, że jej wspaniałomyślność w cudowny sposób kilka razy wynadgrodzoną została; sakiewkę bowiem próżną zapełnioną znajdowała po pewnym czasie, a nie mogąc sobie zdać sprawy w jaki sposób się to stało, rzekła: „Bóg jest wszechmocny!“

Pierwsze dzieło Sióstr w Polsce, dom sierót, założony przez królową Maryą z Gonzagów, pod nazwą zakładu św. Kazimierza, był przedmiotem czułej troski Siostry Schwartz. Czuwała, by dziewczętom tam się znajdującym dać dobre, chrześciańskie wychowanie, ażeby je wyuczyć zarabiać w uczciwy sposób na życie; zalecała także bardzo starać się o ich zdrowie, bo także dusza słaba i do niczego nie zdolna, gdy ciało jest chore. Troskliwie się wypytywała, czy przełożona nad zakładem ma tyle środków, by zaopatrzyć wszystkie potrzeby; do kuchni sama się udawała, ażeby się przekonać, czy pożywienie jest starannie przygotowane. Prawdziwa to była niespodzianka dla sierót, kiedy się zjawiła S. Schwartz na ich rekreacyi, bo w kieszeni były łakocie, a jako dobra matka bawiła niemi dzieci, rozweselała i pocieszała w smutnym stanie sieroctwa. S. Schwartz nietylko w domu centralnym wśród licznych zajęć nie zapominała o ubogich, ale także zwiedzając domy nie zaniedbała się pytać, w jaki sposób są pielęgnowani ubodzy i sieroty.

Z powodu swego urzędu miała stosunki z rozmaitemi osobami różnego stanowiska, a często miała do czynienia z wysokiemi osobistościami, których nienawiść do religii katolickiej powszechnie była znana. Wszyscy byli przejęci szacunkiem względem niej, a przecież ta godna córka św. Wincentego nie znała innej broni oprócz pokory i prostoty. Często słyszały

jej towarzyszki, jak schyzmatycy i sami protestanci pokonani mądrością, powagą i dobrocią S. Schwartz, nachwalić się jej nie mogli. Pewnego razu przybył do niej naczelny lekarz, luteranin bardzo wpływowy, by S. Schwartz przedstawić, jak korzystnem byłoby dla chorych, gdyby się Siostry wyuczyły tego, co jest potrzebnem dla lekarza i dla chirurga. Tak go przekonała, że korzystniej jest dla Sióstr pozostać w dawnej niewiadomości, iż nie mógł się powstrzymać od powiedzenia: „Ach! wrażenie, które na mnie wywarła ta czcigodna Siostra, nie zatrze się nigdy; gdyby wszystkie Siostry takie były jak ona, nie byłoby doprawdy żadnego sposobu im się oprzeć!“ Oto jak się spełniły słowa św. Założyciela: „Najlepszy środek, by pozyskać Bogu dusze przyzwyczajone do wybiegów i oszukaństwa, jest obchodzić się niemi z prostotą i otwartością“.

S. Schwartz względem biskupów i kapłanów zachowywała się jak pobożna Założycielka. Czciła ich i szanowała pamiętając na to, że oni prowadzą duszę do Boga i obfite łaski na nią sprowadzają z nieba. Pewien duchowny powiedział: „Pokorna postawa tej czcigodnej Siostry mającej przeszło 80 lat mnie zawstydza. Ach! jakażto nauka dla mnie. Mimowoli przywodzi mi na myśl świętość i godność mego stanu. O! jak wzruszającym był widok, gdy się w pokorze rzucała zgrzybiała staruszka na kolana, by otrzymać błogosławieństwo od nowo wyświęconych księży, których znała od dziecięctwa. Przy stole obsługiwała ich tak, jak gdyby w nich samego P. Jezusa przyjmowała“.

Mimo głębokiego szacunku dla stanu kapłańskiego, okazywała się przecież stałą, gdy chodziło o to, by dać dobrą radę. Pewien młody kapłan zda-

wał się jej być nie dość poważny, sposób wyrażania się nie podobał jej się wcale, a kiedy na jej przyganę przytoczył przykład św. Augustyna, który będąc młodym lekkomyślne życie prowadził, rzekła: „Prawda, że w młodości był wielkim grzesznikiem, ale zostawszy kapłanem zrozumiał, że się odtąd przez to samo zobowiązał zostać świętym i jak wiadomo niczego nie szczędził, ażeby ten zamiar wprowadzić w życie“. Pewien biskup chcąc przywrócić porządek w jednym z domów prowincyi warszawskiej zamianował przełożoną Siostrę, którą niezadowolone umysły mu podsunęły; po zamianowaniu uwiadomił o tem wizytatorkę. Natychmiast odpisała S. Schwartz, że wdzięczna jest biskupowi za jego łaskawość, ale tę Siostrę musi odwołać do domu centralnego, gdyż nie ma odpowiednych zdolności do piastowania tego urzędu; natomiast ma zaszczyt przedstawić mu inną Siostrę, która wsparta jego błogosławieństwem zadaniu z wszelką pewnością podoła.

Liczne trudności, które S. Schwartz napotykała na swoim urzędzie, znosiła z niesłychaną cierpliwością. Całą swoją ufność położyła w Bogu i w Najśw. Maryi P. i to właśnie było tajemnicą jej nadziemskiej siły.

Dość często zarzucano jej, że się za mało ucieka do osób wpływowych i mających znaczenie u rządu. Zarzut jest o tyle niesłuszny, że wymawiający jej to zapomnieli, że S. Schwartz nie gardziła nigdy środkami ludzkimi, jeżeli takowe roztropność podyktowała i że dostatecznie oświecona duchem wiary wiedziała, iż ludzie o tyle tylko pomódz nam mogą, o ile Bóg pobłogosławi ich czynnościom.

W różnego rodzaju cierpieniach i uciskach szukała pociechy u Boga tylko i to samo polecała Sio-

strom w podobnych okolicznościach. Po 4 latach słodkiego pokoju i błogiej pomyślności, której doznawała po podróży z Francyi, nastąpiły wypadki r. 1863. Nieszczęśliwa Polska postanowiła zrzucić obce i dokuczliwe jarzmo. S. Schwartz musiała w tym okropnym czasie hamować zapał serca i towarzyszkom przypominać, że ich obowiązkiem jest pielęgnowanie chorych i ubogich, a obojętnemi być na to, co się na świecie dzieje. Niebawem obwiniano wszystkie stowarzyszenia o wzniecenie powstania, a wskutek tego rozpoczęło się jawne prześladowanie. Po wszystkich stowarzyszeniach urządzono śledztwo i poobsadzano domy żołdactwem. Po upływie pewnego czasu wyszło prawo pognębienia stowarzyszeń religijnych, a wizytatora prowincyi zawieziono do Łowicza.

Odwaga S. Schwartz rosła w miarę niebezpieczeństwa. Kiedy wybiła druga godzina, doniesiono, że oficerzy i żołnierze zamierzają wejść do św. Kazimierza. „Nikomu o tem nie powiadaj, rzekła do Siostry, która ją o tem uwiadomiła, bo teraz jak zwykle odprawiać będziemy czytanie duchowne“. Po skończonem ćwiczeniu uwiadomiła Zgromadzenie, że żołnierze wysłani przez rząd, obecnie znajdują się w domu Nawiedzenia i że wkrótce przybędą do domu św. Kazimierza. „Udajmy się do kaplicy, dodała, ażeby z Bogiem rozpocząć drogę krzyżową, a potem niech każda wróci do swego zajęcia. Oddajmy się w ręce P. Boga, gdyż On jest naszym najlepszym Ojcem i bez Jego woli nic złego się nam nie stanie“.

Jakkolwiek nie gnębiono Zgromadzenia Córek Miłosierdzia, inny przecież rodzaj doświadczenia zesłał Bóg na nie — a w tej walce S. Schwartz miała wziąć czynny udział aż do ostatniej chwili swego życia. Nieprzyjaciele bowiem katolicyzmu ufając, że

okazawszy pewne względy Zgromadzeniu Córek Miłosierdzia z łatwością potrafią to duchowne Zgromadzenie zamienić w świecką instytucyą i dlatego nadać mu usiłowali inny ubiór i inną organizacyą wewnętrzną.

Gorąco pragnęła S. Schwartz wylać zbolałe serce przed wizytatorem prowincyi i przedłożyć mu liczne trudności. Roztropność atoli przestrzegała ją, by wziąć paszport dopiero po dwóch miesiącach uwięzienia X. Dmóchowskiego. Po upływie tego czasu udała się do niego pod pozorem zwiedzenia domu, który się znajdował w tem mieście. „Przeczucie, które miała widząc po raz ostatni tego zacnego kapłana, opowiada jej towarzyszka tej podróży, nie pozwalało jej cieszyć się z tego spotkania, gdyż już krążyła pogłoska, że zostanie wysłany na sybir“. Powróciwszy do domu centralnego nic nie wspomniała o przykrościach doznawanych w podróży — przeciwnie starała się wlać nową otuchę w zgromadzoną rodzinę, opowiadając wiele o X. Dmóchowskim. Nie zataiła jednak, że od jutrzejszego dnia w więzieniu warszawskiem przebywać będzie przez 6 miesięcy i że w niczem ulżyć mu nie będzie można.

Dnia 24 kwietnia r. 1865 o północy przybyło dwóch oficerów i wielu sołdatów do domu św. Kazimierza. Kiedy przeszukano wszystkie papiery, w których nic nie znaleźli, rzekł pułkownik do S. Schwartz: „Siostra przełożona zechce mi łaskawie towarzyszyć!“ Przerażona S. Schwartz zapytała: „Gdzie i dlaczego mam panu towarzyszyć?“ — „Do więzienia, odparł, takie bowiem rozporządzenie“. — „Zanadto, zawołała jedna z obecnych Sióstr, w czem zawinęła wizytatorka?“ S. Schwartz była zupełnie spokojna, a zwróciwszy się do Sióstr rzekła: „Proście P. Boga za

mną i o to samo błagajcie inne Siostry, uspokajając je, bo dobry Bóg czuwa nademną i nad wami. Miejmy tylko ufność!"

Łatwo można sobie wyobrazić przerażenie Sióstr, które się rano dowiedziały, że wizytatorkę i jej asystentkę odprowadzono do więzienia. Pod wieczór powróciła do domu centralnego S. Schwartz z sercem złamanem, a roniąc obfite łzy uwiadomiła Siostry, że asystentkę nie tak prędko wypuszczą na wolność.

Dzięki wstawiennictwu konsula Francyi wypuszczono na wolność X. Dmóchowskiego i S. asystentkę.

Coraz bardziej cierpiała S. Schwartz. Tak pisała do X. Etienne: „Nasze położenie jest krytyczne; posyłam Ojcu ukaz, na podstawie którego nie mamy być zawisłe od X. Generała. Zakazują Siostrom Miłosierdzia znoszenia się z domami zagranicznymi, a prezydent mówi zawsze do Siόstr: „Nie macie już przełożonego generalnego, bo jesteście od nas zawisłe".

Dnia 30 września 1865 r. wśród większego jeszcze ucisku pisała do czcig. Matki Montcellet: „Nie wiem jak się skończy sprawa znoszenia się z domami zagranicznymi; w żadnym z naszych domów nie zgodzono się na to. Na rozkaz dany mi przez radę generalną, ażebym Siostrom nakazała ulegać rządowi, odpowiedziałam: „Na to tylko jestem przełożoną, ażeby czuwać nad zachowywaniem reguł i ślubów św. Władza moja nie jest tak wielka, ażebym kogo od nich uwolnić mogła, a zresztą każda miałaby prawo odmówić mi posłuszeństwa, gdybym coś podobnego im rozkazała".

W kilka tygodni potem spotkała się S. Schwartz znowu z inną trudnością, o której tak pisze: „Wczoraj wieczór przybył do mnie kanonik kapituły jako wikaryusz generalny (arcybiskup bowiem i jego su-

fragan byli na wygnaniu) ażeby mnie uwiadomić, że Ojciec św. dał biskupom bezpośrednią władzę nad wszystkiemi Zgromadzeniami w Polsce; dowiedział się bowiem, że rząd zakazał im się znosić z przełożonym generalnym. A kiedy mnie zapytał: „Czy gotowa jestem z całem Zgromadzeniem poddać się stolicy apostolskiej?“ odparłam: „Wola Ojca św. jest dla mnie wolą Bożą, lecz nie jestto wcale rozkaz z Jego strony, gdyż tylko okoliczności spowodowały taką decyzyę, z której korzystać nie myślimy. Zawsze posłuszne jesteśmy biskupom, lecz co się tyczy organizacyi wewnętrznej i duchownego kierownictwa Zgromadzenia, jesteśmy zawisłe i zawsze zawisłemi będziemy od przełożonego generalnego, któremu ślubowałyśmy posłuszeństwo“.

Dnia 7 stycznia 1866 r. pisała do czcig. Matki Montcellet: „Jesteśmy zawsze na Kalwaryi, obwiniają nas o bezczynność, zdradę nam zarzucają i krąży pogłoska, jakoby nam szpitale odebrać chciano. Zdaje mi się, że przygotowują dla mnie paszport tak, jak gdybym sama za granicę jechać zamierzała. Znając Twoją wolę, jestem gotowa odpowiedzieć, że nie wyjadę z tego prostego powodu, iż odpowiedzialna jestem za wszystkie Siostry z prowincyi; siłą tylko wyprzeć mnie zdołają“.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA.

Francya. Na prośby Najprzewielebniejszego X. Generała udzielił Ojciec św. pismem z 12 stycznia 1895 r. pozwolenie, aby w kaplicy Objawienia się N. Maryi Panny odprawiać mogli wszyscy kapłani w pielgrzymce niejako przybywający w którymkolwiek dniu, o ile się to nie sprzeciwia rubrykom, mszę św. (missa votiva) o Objawieniu się N. Maryi Panny.

W Prime Combe odprawili misyonarze rekolekcye dla robotników w dniach 26, 27, 28 października 1894 r. Przybyło ich z 2 sąsiadujących z sobą dyecezyj 84. Biorący udział odznaczali się wielkiem skupieniem, szczególnie zaś z natężoną uwagą słuchali czytanych w refektarzu, X. biskupa Ségura „Odpowiedzi na zarzuty przeciw religii“. Wielu z nich przybyło już po raz wtóry. Skutki rekollekcyj były wielkie, a jak zapewniają proboszczowie stali się uczestniczący w nich apostołami w swych parafiach.

Podobne rekollekcye zgromadziły w St. Servan (dyec. Rennes) 400 marynarzy, między nimi 60 kapitanów. Byli to przeważnie marynarze trudniący się przez większą część roku rybołowstwem około Irlandyi i Nowej Fundlandyi. Przewodniczył rekollekcyom X. Auger, przełożony domu św. Rozalii w Paryżu. Ze szczególnem nabożeństwem odprawiali drogę krzyżową i wspólną koronkę. Rekollekcye zakończyły poświęceniu się „Gwiazdzie Morza“ Maryi i odnowieniu przyrzeczeń uczynionych na chrzcie św. Ludzie ci korzystali z całą gorliwością ze sposobności pogodze-

nia się z Bogiem, albowiem przez całe prawie 8 miesięcy są pozbawieni wszelkich pociech religijnych. To też byłoby bardzo pożądanem zbieranie składek na to, aby wyprawom tym mógł towarzyszyć kapłan.

Hiszpania. Donosiliśmy w ostatnim zeszycie *Roczników* o uroczystem otwarciu w Madrycie nowego domu Sióstr Miłosierdzia pod nazwą „Schroniska królowej Maryi Krystyny“. Królowa okazuje się bardzo łaskawą dla Sióstr i raz po raz odwiedza swój zakład, do którego kazała nawet zrobić drogę osobną tak, że nie wychodząc z obrębu pałacowych przyległości może doń przybyć. Za każdem przybyciem królowej zakład czemś się wzbogaca. Spostrzegła raz skarbonkę, gdzie dzieci składały swe grosze na zakupno figury N. Maryi Panny. Poleciła więc zaraz figury takie do wszystkich klas posprawiać. Wogóle z wielkiem uznaniem wyraża się zawsze o prowadzeniu zakładu.

Włochy. W mieście Lecce zebrało się w listopadzie z. r. w domu XX. Misyonarzy 14 okolicznych biskupów na 7-dniowe rekollekcye pod kierownictwem misyonarzy. Odprawili je ci książęta kościoła z całą gorliwością, aby zaś uchronić się od wizyt, polecili wywiesić u furty oświadczenie, że nikogo przed końcem rekollekcyj nie przyjmują. Równocześnie naradzali się nad sprawami kościoła i swych dyecezyj.

Austrya. Konfratrzy z Wiednia odprawili pod przewodnictwem X. Lollok'a misye w Węgrzech, w dyecezyi Wesprymskiej. W styczniu 8 wyjechali do parafii Csoth. Zdawało się, że misya się nie uda, bo drogi zawiane były śniegiem; że silny wicher i mróz przeszkodzą zebraniu się wiernych. Ludzi przecież przybyło bardzo wielu, niejeden już o 2 wstał, byle tylko zaraz rano być w Csoth. Zdarzył się tu

ciekawy wypadek. Na kazaniach w dniu 17 stycznia, gdy mówiono o Najśw. Sakramencie, była pewna żydówka. Przysłuchiwała im się z uwagą, a po skończeniu głośno zawołała: „Niech Was Bóg błogosławi księża dobrodzieje;“ przybyła ucałować ręce misyonarzy, ofiarować nawet chciała świece do kościoła. Może prawda ewangelii kiedy zamieszka na zawsze w jej duszy.

Po 10 dniach udali się do sąsiedniej parafii Vanyola. Ludność tu w połowie protestancka. Ludu zebrało się tak wiele, że z probostwa do kościoła trudno się było przecisnąć. Nawet protestanci chętnie słuchali słowa Bożego, a niejedno serce Bóg poruszył, tak, że wołali, iż już chcą porzucić swe błędy. Rozdano w obu parafiach 2400 komunii św.

Na rok bieżący zgłoszono z Węgier 40 misyi. Niestety pracowników mało, a tak czynny dawniej X. Medits wskutek słabości od listopada już w nich udziału brać nie może.

Azya. Chiny. Wojna wybuchła pomiędzy Chinami a Japonią o zwierzchnictwo nad Koreą, zakończyła się już pokojem, a zakończyła dla Chin nieszczęśliwie, bo po ciągłych porażkach; po wielkich stratach w ludziach, musieli jeszcze zapłacić koszta wojenne i odstąpić niektóre ze swych posiadłości. Ciekawiśmy byli czy też nie posłużą wypadki te, jak to już nieraz bywało, fanatycznym kapłanom i mandarynom do podburzenia ludności na chrześcian, których zwykle wini się o różne nieszczęścia, obawialiśmy się czy nie przyjdzie do prześladowania. Obawy jednak jak dotąd były płonnemi. Tylko jedna prowincya Zgromadzenia t. j. wikaryat Tsze-by ze stolicą Pekinem leży na drodze, którą maszerowały niekarne wojska chińskie. Zdawało się też, że Pekin przynaj-

mniej przyjdzie opuścić. Cesarz jednak wydał kilkakrotnie edykty, nakazujące pod najsurowszemi karami poszanowanie dla misyj i wogóle narodowości europejskich, motywując to tem, że żadne z państw Europy nie bierze udziału w toczącej się wojnie.

Wojna ta jednak przysporzyła pracy, zwłaszcza Siostrom po szpitalach. Za wojną przyszła drożyzna i głód. W jednym tylko zakładzie w Pekinie utrzymują Siostry 800 dzieci, będzie więc trzeba bardzo się liczyć, aby w tym roku wszystkie utrzymać, a jeszcze wspomagać innych nędzarzy. Za to może niejednego chińczyka poruszy miłosierdzie chrześciańskie i do Boga prawdziwego pociągnie.

Afryka. Abissynia. Pisaliśmy, że Zgromadzenie musiało opuścić kraje Abissyńskie zaokupowane przez rząd włoski. Dziś możemy podać nowe szczegóły. Przez rok ubiegły rząd włoski raz po raz wytaczał misyonarzom procesy o prawność posiadania dóbr, jakie w ciągu swego długoletniego pobytu nabyli. Naturalnie misyonarze w takich sądach sprawę przegrać musieli, rząd włoski bowiem od początku zazdrosnem patrzał okiem na rozległe ich dobra — to też zamienił je na dobra skarbowe. Odjęto więc misyonarzom posiadłości, ale nie poprzestano na tem — rząd chciał ich wypędzić. Na to jednak trzeba było choćby jakichś pozorów, boć misyonarze przez ludność byli kochani. Zarządzono więc 20 stycznia rewizyą równocześnie we wszystkich domach misyonarzy. W Massawie trwała ona 5 godzin. Przeszukano wszystkie szafy, przejrzano wszystkie papiery, nie znaleziono nic kompromitującego. Dekret więc wypędzenia wydany w dwa dni po rewizyi nie zarzuca żadnych przestępstw, ogólnie tylko zaznacza, że starali się „zmniejszyć powagę włoskiego rządu“. Na mocy te-

goż wszyscy misyonarze Europejczycy mieli opuścić do 4 lutego kraje okupowane przez rząd włoski. Naturalnie nie mogły pozostać i Siostry Miłosierdzia. Obejście się urzędników z biednemi wygnańcami było brutalne, na co z oburzeniem powstaje prasa katolicka włoska.

W części Abisynii nie zajętej przez Włochów w tak zwanym wikaryacie apost. Abissynii został w dniu 4 lutego przez Ojca św. na przedstawienie Propagandy mianowany wikaryuszem apost. X. Jougla misyonarz pracujący już 15 lat w Abissynii, znający więc dobrze język i obyczaje krajowców.

Ameryka. Rzeczpospolita Costa Rica. W Limon niedawno osiedli misyonarze i zawiadują rozległą parafią. Przedtem katolicy byli dość opuszczeni i w niebezpieczeństwie popadnięcia w sidła protestantów. Dla większego przywiązania ich do religii projektowaną jest budowa trzech kaplic w miejscach, w których ich jest większa liczba. Indyanie często przybywają z prośbą, aby ich odwiedzić i ochrzcić, nieraz kilku na tydzień. Robią misyonarze co mogą, ale protestanci są także bardzo ruchliwi.

San Juan (w Rzeczypospolitej Argentyńskiej) gdzie misyonarze prowadzą seminaryum, nawiedził Bóg w dniu 27 października zeszłego roku wielkiem trzęsieniem ziemi. Całe prawie 26.000 mieszkańców liczące miasto uległo spustoszeniu, a niemniej ucierpiała i okolica. Potworzyły się liczne źródła gorące, niektóre wyrzucają popiół i wodę na wysokość metra. W północnej części kraju powstał nowy czynny wulkan.

Szczęście, że katastrofa nastąpiła w dzień a nie w nocy, bo by liczba wypadków śmierci była większą. Straty są olbrzymie, w całem mieście nie ma domu

któryby nie był uszkodzony. Kościoły prawie wszystkie musiano pozamykać, ludność obozowała pod namiotami. Z rodziny św. Wincentego nikt nie zginął, dotknął ją jednak Bóg przez znaczne straty materyalne. Kilka nocy spędzili misyonarze i seminarzyści pod gołem niebem, a że niebezpieczeństwo nie minęło, bo wstrząśnienia powtarzały się ciągle, wysłano seminarzystów do odległej o 2 mile od miasta willi w Marquezado. Podczas gdy wszędzie obie rodziny obchodziły święto Cudownego Medalu, biedni mieszkańcy San Juan i tej pociechy nie mieli.

San Salvador. W rzeczypospolitej tej, jak się to często zdarza w Ameryce, wybuchło powstanie z następujących powodów. Jeszcze w roku 1890 dwaj bracia generałowie Ezeta, zagarnęli w swe ręce rządy republiki, Carlos jako prezydent, Antonio jako wiceprezydent. Teroryzm ich zaciężył nad ludnością. Kraj tracił najlepszych swych obywateli, mnożyło się coraz więcej niezadowolonych emigrujących za granicę. Po 4 latach zabrali się jednak emigranci do zwalenia rządu Ezetów.

W dniu 23 kwietnia w szczupłej liczbie 35 ludzi wtargnęli do miasta St. Anna, zajęli koszary artyleryi, którą pociągnęli za sobą. Zajęcie koszar innych było już łatwiejsze. Prezydent umknął, ale zebrawszy swoich, wykonał na St. Anna napad. Biedne miasto ucierpiało wiele, a jeszcze więcej spustoszeniu uległa okolica. Bóg strzegł jednak dzieci św. Wincentego. Kule i bomby żadnej z Sióstr w St. Anna nie zraniły, jednej nawet kawałek bomby wpadł do wyłogów przy rękawie, ale żadnej nie przyniósł szkody. Pracy im się przymnożyło, znoszono im licznych rannych, a nadto i po za szpitalem do ambulansów użyte zostały. Wojna domowa straszna co prawda, na szczę-

ście nie trwała długo, bo tylko 6 tygodni a już 10 lipca z wojskiem zwycięskiem wszedł do St. Anna tymczasowy prezydent Don Rafał Gutierrez. Dobre wrażenie zrobiło to, iż udał się zaraz do katedry na dziękczynne „Te Deum“ i w dobre z biskupami wszedł stosunki. Zmiana ta byłaby bardzo pożądaną, biskup mógłby przybyć bierzmować; w St. Anna bowiem już 9 lat biskup się nie pokazał. Podobnie jak w St. Anna użyte były Siostry do pielęgnowania rannych w Sansonate. Zwożono chorych żołnierzy dzień i noc, a liczba wzrosła do 500, czego łącznie z 60 choremi szpitala i 25 sierotami było za wiele na 5 Sióstr w Sansonate zamieszkałych. To też wysłała im wizytatorka pomoc; że jednak komunikacya była we wielu miejscach przerwana, przybyły już w dniu zakończenia wojny.

Peru. W Moquegua otwartym został w dniu 29 listopada 1893 r. nowy dom Sióstr Miłosierdzia. Ludność, gdy przejeżdżały przez osady i miasteczka, wybiegała ciekawie z domów na ulice, bo pierwszy raz widziano tam biały kornet. Po kilkudniowej z Limy podróży wodą i lądem konno, stanęły wreszcie w miejscu przeznaczenia. Doznały jak najlepszego przyjęcia. Stowarzyszenia miejscowe wyszły im naprzeciw, a potem cały lud ruszył do kościoła, gdzie u bramy czekał na Siostry proboszcz. Po odśpiewaniu „Te Deum“ w procesyi także odprowadzono Siostry do szpitala, nad którym objąć miały opiekę.

Argentyna. W mieście Lujan misyonarze prócz misyj, prowadzą także kollegium. Obecnie budują obszerny kościół na cześć Najśw. Maryi Panny w Lujan cudami słynącej, miejsca licznych pielgrzymek. Jest to Częstochowa argentyńska. Pod redakcyą X. Salvaire misyonarza, wychodzi w Lujan tygodnik *La*

Perla del Plata, będący organem tej narodowych pamiątek świątyni.

Jak Brazylia i San Salvador, tak i prowincya Buenos Ayres miała swoją rewolucyę w r. 1893. Lujan jednak nie ucierpiało nic w czasie wojny domowej.

Buenos Ayres. Pisaliśmy, że X. Grzegdała pojechał do Argentyny, aby poświęcić się dla polskich wychodźców, tak często bardzo pod względem duchowym zaniedbanych, bo księży polskich bardzo tam niewielu. Ci z polaków co umieją po hiszpańsku mogą — jeżeli wogóle nie zapomnieli jeszcze o Bogu — znaleść zaspokojenie swych potrzeb religijnych u księży krajowców, ale biedni chłopi polscy, którzy nie łatwo uczą się obcego języka, często długi czas żyją bez sakramentów św. Najwięcej bo do 60.000 polaków jost w prowincyi Paranie. W Buenos Ayres zaś niewiele znalazł X. Grzegdała zajęcia. Polaków tu nie ma więcej niż 200[1]) a i z tych tylko około 100 potrzebuje księdza rodaka. X. Grzegdała wysłuchał około 80 osób spowiedzi, pobłogosławił jedno małżeństwo, udzielił po poprzedniem pouczeniu katechizmu, ośmiu dzieciom pierwszej komunii św. i dopełnił ceremonii chrztu św. na 13-letnim chłopcu. Zaczął urządzać i kazania. Ale niewielu polaków brało

---

[1]) Hiszpanie liczą ich więcej, a to dlatego, że polakami nazywają także i żydów polskich, których tu jest do 4000. Żydzi ci utrzymują przeważnie domy nierządu, do których sprowadzają dziewczęta z Polski, które nieobznajomione z językiem, a pozbawione wszelkich do życia środków zupełnie są zależne od żydowskiego faktora. Sprowadza tu zarazem niesławę na polaków. Protestowano już kilka razy w gazetach argentyńskich przeciw takiemu mięszaniu polaków z żydami, ale prasa płacona przez żydów niechętnie to czyni.

w nich udział. Już na pierwszy raz przybyło tylko 15 osób, na drugie 6, tak, że trzeba było miewania nauk zaprzestać. Polacy wymawiali się, że mają pracę, są bowiem ubodzy — a rzeczywiście w Argentynie nie znają co to święto. Zaopatrzywszy potrzeby rodaków w stolicy, zamyśla się X. Grzegdała zwrócić do Parany, gdzie szersze pole działania. O dalszych jego pracach doniesiemy w miarę odbieranych wiadomości.

Australia. Dopiero od roku 1885 osiedlili się tu misyonarze, zawezwani przez arcybiskupa Sydneyskiego. Osiedli w Sydney najpierw na przedmieściu Balmain; obecnie jednak przenieśli się na inne przedmieście Ashfield zwane, gdzie stanął kościół i dom, będący ozdobą dzielnicy. Otwarcia nowego domu w dniu 14 stycznia 1894 r. dokonał osobiście X. arcybiskup Sydneyski kardynał Mornau, przy współudziale biskupa Maitlandu, wizytatora Irlandzkiej prowincyi Zgromadzenia, do którego jurysdykcyi dotąd domy w Australii należą i wielu życzliwych misyonarzom duchownych świeckich i zakonnych. Kardynał a także biskup z Maitlandu przemówili w podniosłych słowach do licznych tłumów zgromadzonego ludu. Po obchodzie zarządzono składkę, która wyniosła 350 funtów szterlingów (4200 złr.). Prócz domu w Sydney-Ashfield istnieją dotąd w Australii 2 jeszcze domy: w Bathurst założony w roku 1888 i w Malvern 1892 roku.

Zmarli:

X. Ludwik Scotti 73 lat życia, 54 lat powołania, umarł 2 marca w Gênes (Lombardya).

X. Wilhelm Gadrat 75 lat życia, 53 lat powołania, umarł 1 kwietnia w Montolieu (Langwedocya).

Brat Patrycy Hanrahan 62 lat życia, 40 lat powołania, umarł 1 kwietnia w Cork (Irlandya).

X. Jan Soplogne 79 lat życia, 57 lat powołania, umarł 1 kwietnia w Montobirel (Prowancya).

Brat Aleksy Girard 63 lat życia, 42 lat powołania, umarł 2 kwietnia w Kouba (Algerya).

Brat Tomasz Arrigotti 60 lat życia, 34 lat powołania, umarł 9 kwietnia w Chieri (Lombardya).

Brat Rafael de Gobbis 59 lat życia, 40 lat powołania, umarł 11 kwietnia w Ferrara (Rzym).

Brat Marcin Larjand 69 lat życia, 43 lat powołania, umarł 12 kwietnia w Paryżu (Francya).

Kleryk Henryk Turbelin 24 lat życia, 6 lat powołania, umarł 8 maja w Paryżu (Francya).

X. Wilhelm Ganrente 69 lat życia, 45 lat powołania, umarł 16 maja w Santorin (Konstantynopol).

X. Kazimierz Jouffroy 64 lat życia, 39 lat powołania, umarł 28 maja w Guatémala (Ameryka środkowa).

Brat Józef de Lorenzo, 72 lat życia, 47 lat powołania, umarł 1 czerwca w Neapolu (Neapol).

Brat Wilhelm Castex, 62 lat życia, 37 lat powołania, umarł 15 czerwca w Kouba (Algerya).

S. Henryka Rzętycka, zmarła 12 kwietnia w Domu Centralnym, lat 20, powołania 2.

S. Wiktorya Aleksandrowicz, zmarła 18 kwietnia w Domu Centralnym, lat 25, powołania 3.

S. Brygida Lazar, zmarła 21 czerwca w Domu Centralnym, lat 75, powołania 47.

R. i. P.

Wydawnictwa Księży Misyonarzy

(Kraków, Kleparz 19).

Przewodnik grzeszników czyli nauka dla wszystkich stanów o zacności i pożytkach cnót i o drodze do nich wiodącej, przez WX. Ludwika z Grenady — wydanie Księży Misyonarzy. Cena egz. opr. loco **1 złr. 60 cnt.** (3 marki).

Wiadomość o Najśw. Pannie w Lourdes. Prócz opisu znaczniejszych cudownych łask, jakich za użyciem wody z Lourdes pobożni wierni doznali, tudzież Nowenny do tejże cudownej N. Panny, dodano modlitwy i akty pobożne dla chorych i konających, tudzież pieśń i Litanię do tejże Najśw. Panny. Wydanie ozdobne, najnowsze z r. 1895. Cena broszury **20 cnt.** (40 fen.)

Narzędzia Męki Chrystusowej przez znakomitego kaznodzieję IMĆ. X. Veit, przekład X. Chołoniewskiego, wydanie Księży Misyonarzy r. 1891. Dobre do czytań i nauk Pasyjnych. Cena **1 złr. 25 cnt.** (2 marki 40 fen.).

Wiadomość o trzech szkaplerzach tj. **niebieskim czerwonym i czarnym,** z dołączeniem nabożeństwa do Najśw. Panny i do Męki Pańskiej. Cena broszury **10 cnt.** (20 fenigów).

Cuda Łaski Miłosierdzia Bożego oraz Nowenna za dusze w czyśćcu cierpiące. Cena egz. **15 cnt.** (30 fen.)

Wspomnienie o życiu i śmierci Bł. Jana Gabryela Perboyre, Misyonarza umęczonego w Chinach Cena **20 cnt.** (30 fen.).

O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa Tomasza Kempis — z dodatkiem licznych modlitw. Cena egz. nieopr. **60 cnt.** (1 markę), opr. **75 cnt.** (1 markę 30 fen.).

Roczniki Dzieła św. Dziecięctwa P. Jezusa, wychodzą co kwartał. Prenumerata wynosi rocznie **20 cnt.** (30 fen.).

Nowenna do św. Wincentego à Paulo. Cena **15 cnt.** (30 fen.).

Adoracye czyli 12 godzin przed Najśw. Sakramentem. Zbiór pięknych uwag, nauk i rozmyślań pobożnych o Najśw. Sakramencie z dodaniem procesyi na Boże Ciało, tudzież pieśni i hymnów o N. Sakr. Oprawne **50 cnt.** (1 marka).

Nabożeństwo Kościelne, czyli mszał rzymski po łacinie i po polsku na cały rok. Oprawa w szagryn **4 złr. (7 m.).**

Wiadomość o Cudownym Medalu N. P. Broszur. **10 ct.** (20 f.)

Maksymy św. Wincentego 40 ct. (80 fen.).